# SERCA NIEWIEŚCIE.

NOWELLE

**W. No-sty.**

I poznał serc niewieścich balsamy i jady,
Anielskie poświęcenia — i piekielne zdrady.
*(Konstanty Gaszyński).*

WARSZAWA.
Skład u Gebethnera i Wolffa.

1876.

Adamowi Kopstańskiemu

„Zygmuntowi” z nowelli „Dwaj przyjaciele”

jako wspomnienie wspólnej „Julii”

ofiaruje tę książkę

2 Listop. 76. W. Nostan

# SERCA NIEWIEŚCIE.

# SERCA NIEWIEŚCIE.

NOWELLE

W. No-sty.

I poznał serc niewieścich balsamy i jady,
Anielskie poświęcenia — i piekielne zdrady.
*(Konstanty Gaszyński).*



WARSZAWA.
Skład u Gebethnera i Wolffa.

1876.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, дня 8 Ноября 1875 года.

Warszawa.—Drukiem S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20.

# Trzy Róże.

Dziewczę patrzało i stało,
Drży i za serce się trzyma;
Wróżka objęła ją całą
Powłóczystemi oczyma;
Czemuż, zapyta, o dziecię
Patrzysz z zazdrością ponurą?
Dałabyś wszystko na świecie
Za którą z tych róż, — lecz którą?
(*Deotyma*).

Brzmiało jeszcze w bibliotece Deotymy echo ostatnich słów tej uroczej improwizacyi. Otaczające panią domu towarzystwo, olśnione pełnym świetności blaskiem muzy, wyrwać się nie mogło z pod czarownego jej wpływu. Posypały się pytania i wnioski: każdy wedle swej myśli rozwijał dalej temat. tak kunsztownie w kilku rysach przeprowadzony przez poetkę. Wsunięty w głąb fotelu, podziwiałem

z początku, migocące różnobarwnem światłem, promienie wyobraźni lub dowcipu; ale wkrótce, niemogąc dłużej utrzymać myśli w więzach uwagi, straciłem wątek ogólnej rozmowy i na skrzydłach fantazyi bujać zacząłem wśród powiewnych, różowych u swych szczytów, obłoków marzenia.

Lecz nieróżowo się złożył zawiązek mych myśli. Drogą szedłem twardą, kamienistą, wśród spiekoty i znoju; zkąd—niepomnę, dokąd—niewiem! Szedłem, bo musiałem; bo droga przebyta zamykała się za mną murem przejrzystym choć niewzruszonym, zaklętą nieprzepartą ścianą; bo spocząć gdzie niebyło i siła jakaś wewnętrzna pchała naprzód, budząc ciekawość w umyśle a przed oczyma przesuwając złudne obrazki nadziei. Serce gorące biło w piersi znękanej: chciałem kochać, chciałem żyć, — więc szedłem. Oczyma duszy zapatrzony w zakrytą horyzontem gwiazdę, zdążałem ku niej, przeczuwałem ją, — aż zabłysła!

Ujrzałem w koło kraj inny, zieloności pełen i woni. Z obu stron drogi ciągnęły się ogrody pełne kwiatów, wśród nich dworek krył się maleńki. Po długiej wędrówce wśród puszczy, witałem radośnie drewniane jego ściany, siadłem z rozkoszą na ocienionej lipą ławeczce i napawając się spoczynkiem patrzyłem w okna domku. Jedno z nich się rozwar-

ło i na ciemnem tle wnętrza pokoju ukazała się postać dziewczęcia. Ah, pomnę tę postać! Ona mi zawsze świeci w ciemności, krasi swym uśmiechem smutne obrazy myśli, łagodzi słodyczą gorzkie wrażenia życia. Było to pierwsze spotkanie na mej drodze,—przedtem nie widziałem nikogo.

W białej ramie okna, zielonym umajonej bluszczem, jaśniała piękna, spokojna i czysta. Srebrnej jasności włosy okalały jej głowę bogatemi sploty, oczy ciemno niebieskie wyzierały nieśmiało z pod skromnie spuszczonych powiek. U piersi zatknęła jedno różane kwiecie, tysiące ich miała na licach. Wpatrywałem się w nią zachwycony i szczęśliwy. To mi się zdawało, że niebo, by zstąpić ku mnie, przybiera jej postać; to znów że ziemia, by mi się raz uśmiechnąć, streszcza swe skarby w tych kształtach uroczych. Przeczuwałem w niej ideał małżonki i zapragnąłem go. Wyciągnąłem doń ręce, lecz nie dosięgłem.

W gęstwinie otaczającej domek zaszeleściły lekkie kroki. Z pośród krzaków, żółtemi ubarwionych kwiatami, wybiegła młoda dziewczyna, zwinna, gibka, wysmukła. Była także piękną, piękniejszą może od dziewczęcia stojącego w oknie, ale inaczej. Wyższa, pełniejsza, na twarzy z lekka śniadej nie miała

już rozlanego tego niebiańskiego spokoju jak tamta, lecz jaśniała ponętnym urokiem ziemskiego piękna, przeszywała na wskroś palącem spojrzeniem oczu swych czarnych. Podbiegła ku mnie z uśmiechem i ujęła za dłoń wyciągnioną. Dotknięcie jej ręki wstrząsnęło mną całym. Uścisnąłem ją gorączkowo i czułem, żem już nie sobą, że ciałem i duszą, głową i sercem należę do niej. Uśmiechając się, pociągnęła mnie z lekka. Rzuciłem okiem w około, by pożegnać to miejsce zjawisk uroczych, spojrzałem raz jeszcze na domek.... tamtej już nie było. W białej ramie okna, zielonym umajonej bluszczem, czerniała tylko próżnia. Smutna myśl przyszłości przebiegła mój umysł, lecz nie zatrzymała się w nim długo. Pobiegłem, gdzie mnie wiodła drobna rączka, którą z rozkoszą tuliłem w mej dłoni, gdzie świeciły przedemną dwa płomienie w palących spojrzeniach mej pięknej towarzyszki.

Roztoczył się przed nami, w całym blasku piękności i woni, przepyszny krajobraz wschodu. Oko w oku, ręka w ręce, biegliśmy szybko: to w namiętnym uścisku zbliżając się do siebie, to oddalając swawolnie, by się znów połączyć ściślej jeszcze. Palące pragnienie szczęścia chciałem zgasić w morzu rozkoszy, uspokajać je tylko zdołałem chwilami. Bo były — słodkie chwile zapomnienia. Nieraz

w ognistem spojrzeniu zdało mi się, że błyska promień rajskiego szczęścia, że w namiętnym, drżącym uścisku słyszę cichy szept anioła. I znów żegnałem te błogie chwile i znów je witałem — coraz rzadsze!

A w koło nas zmieniała się stopniowo okolica, nikły urocze palmowych drzew gruppy, żółkły jak na jesieni krzewy i łąki. Wstrzymać się chciałem w szalonym pochodzie, lecz nie mogłem. U szyi mi zawisło, zrazu rozkoszne, potem coraz silniej ciążące jarzmo pięknego ramienia, ścisnęło w swem objęciu i biedz musiałem dalej. Aż rozwarła się przedemną przepaścista droga, z ciemnymi padołami na końcu. Zebrałem wszystkie siły, wyrwałem się z uścisku, widmo znikło, ale pęd nabyty pchnął mnie naprzód i w przepaść się stoczyłem bezsilny.

Upadek mnie zagłuszył i ubezwładnił. Zostałem przy myśli, ale bez woli. Zdawałem sobie sprawę z ciemności w około, lecz sił mi brakło by się wznieść nad nie, po stromych brzegach przepaści. Pozbawiony miłości i nadziei, żyłem tylko wiarą w istnienie czegoś lepszego niż wszystko czego zaznałem. A wiara uzdrawia!

Niebieskiej melodyi dźwięki przedarły się do mnie wraz z promieniem słonecznego światła. Całą

w blasku, powiewną, przeźroczą, ujrzałem anielską postać kobiety. Na jasnem tle lazurów, w szatę z tęczowych promieni ubrana, świeciła majestatem potęgi i wdzięku. Skroń jej otaczała białych róż korona, ciężkie berło trzymała w ręku swobodnie jak wachlarz. Jednem spojrzeniem podniosła mnie z ciemności i siłą tajemną a wielką pociągnęła w górę za sobą. Odżyłem i poczułem się silnym. Z dna przepaści potęgą niebieskiego spojrzenia dźwignięty, zapłonąłem wdzięcznością dla kobiety anioła, ukochałem, ubóstwiłem niepochwytną. A gdy w zapale uczucia zbliżyć się chciałem do tej pięknej i świętej, głos mnie utrzymał natchniony, głos z góry zabrzmiał w te słowa:

Kto pomiędzy jej wiernemi
Stanie, dziwny los go czeka,
Inny niż przy córach ziemi.
Bo poezya dla człowieka,
Ni małżonką ni kochanką
Lecz jest siostrą i kapłanką.
Na wpół z nieba, więc duchową,
Na wpół z ziemi, więc królową,
A kobiétą, więc tyranką.

Otrząsnąłem się z zadumy.... to Deotyma czytała swój wiersz prześliczny *Królestwo Ideału*. Westchną-

łem za niem, pocieszając się ostatniemi słowy poematu:

....Bo wiadomo to poecie,
I śpiewają to łabędzie,
Że co złudą na tym świecie,
To na tamtym prawdą będzie.

# Piękna Łucya.

Józio dał wstążkę pasterce,
Antoś oddał swoje serce;
Lecz i z Józia i z Antosia
Śmieje się pierzchliwa Zosia.
La la la la!
(*Adam Mickiewicz*).

Piękna Łucya siedzi zadumana na kanapce swego panieńskiego pokoju. Przeczytała dwa listy i położyła je otwarte przed sobą na stoliku. Nieznośne listy! Potoż przyszły, aby mgłą zamyślenia pokryć wesołe zwykle czoło uroczej królowej salonów? A przyniesiona co dopiero nowa suknia balowa leży tymczasem obok na krześle, próżno czekając na przymierzenie. Co się stało z piękną Łucyą: myśli poważnie i to nie o sukni!

Zajrzyjmy do listów. Oto pierwszy, skreślony śmiałem męskiem pismem, zdradzającem energją a niepozbawionem wdzięku.

Panno Łucyo.

Nieliczne lecz wybrane kółko przyjaciół ma przyjmować dziś wieczorem moja siostra. Mówiła mi że obecnością swą przyrzekła Pani ozdobić to zebranie. Ujrzę Cię więc dziś jeszcze, mam nadzieję przynajmniej. I znów, w błogim zachwycie, wpatrywać się będę w tę postać, co jest dla mnie uosobieniem bóstwa na ziemi i znowu snuć mi się będą po głowie marzenia tak słodkie, tak cudne. Wypowiadać Ci je Pani, byłoby dzieciń　stwem; wylać je tu na papapier, jest może większem jeszcze. A jednak to uczynię.

Rok minął w lecie, gdy wróciwszy do kraju po długiej nieobecności, spotkałem Panią po raz pierwszy u jej przyjaciołki hrabiny Julii.

Miej się pan na baczności, mówiła mi hrabina, w około osoby, której pana przedstawię, płoną wszystkie serca, nawet serca z lodu, jak ten zimny książe Janusz.

— Więc roztropnie by było może, ubezpieczyć moje. Pani nie przyjmie ubezpieczenia?

— Co to, to nie! Nie chcę narażać moich kapitałów, sama prowadząc pana na ogień. *Chère Lucie*, przedstawiam ci pana Zdzisława.

Stanąłem przed dziewicą, bezwątpienia najpiękniejszą ze wszystkich jakie widziałem. Królowę piękności otaczał liczny zastęp dworzan, między którymi przodował książe Janusz Nie chciałem pomnażać tego orszaku, w którymbym zginął niepostrzeżony. Po krótkiej rozmowie, puściłem się w podróż po innych okolicach salonu.

Artysta, który widział Italią, nie zapomni jej nigdy. Najpiękniejsze obrazy natury nie zdołają zatrzeć w jego pamięci widoku włoskiego nieba, sprawią tylko że westchnie za niem raz jeszcze. Wdzięki i dowcip, jakie spotykałem w mej podróży po salonie, wszystko bladło przy blasku tych pięknych oczu, które świeciły mi ciągle choć niepatrzyłem na nie, a które teraz biegają po stronnicach tego listu. Czemuż nie mogę być mym listem w tej chwili!

Po tem pierwszem spotkaniu widywałem Panią często, lecz nie zbliżałem się do niej prawie. Ukryty w zakątku salonu patrzyłem tylko na Panią, słuchałem jej rozmowy, zazdrościłem księciu Januszowi, że on zawsze najbliżej Pani; ale choć czasami uchwyciłem w przelocie wyzywające jej spojrzenie, to pó-

ki mogłem trzymałem się zdaleka. Tłumiłem starannie uczucie, które silnemi porywami ciągnęło mnie do Pani, a że mi brakło odwagi zarówno do cofnięcia się w tył jak i do postąpienia naprzód, marzyłem stojąc w miejscu, bo marzyć było mi tak dobrze. *Dolce far niente*!

Cofnąć się, przysypać popiołem gorejący w piersiach ogień, wyjechać gdzie daleko zrywając ze wszystkiem co mnie wiązało do życia, tak postąpić nie miałem siły. Iść naprzód, takbym był wolał, tak czyniłem zawsze, ale też zawsze liczyłem wpierw przeszkody i ważyłem mą odwagę. A tutaj przeszkody mnie przerażały.

Podobać się Pani, przywykłej do hołdów równie licznych jak i wybranych, wydawało mi się już trudnością. Pozyskać jej serce, uchwycić w różową siatkę miłości tego cudnego motylka, byłoby zadadaniem trudniejszem jeszcze. Lecz motylka w tem uroczem więzieniu zatrzymać długo, życie całe, tak aby się nie znudził i za swobodą nie zatęsknił, w tem widziałem już nie trudność, lecz niepodobieństwo. Nie goniąc więc wcale, wolałem marzyć słodko, że cię już cieszę mem szczęściem, tak dalekiem a tak błogiem. O te marzenia! Jak mnie one upajały! Życie bez nich byłoby drogą bez odpoczynku, pustynią bez oazy.

Aż nadszedł dzień, w którym koło mego losu, nie pchnięte przezemnie, potoczyło się naprzód. Pamięta Pani bal na *Przytulisko*.

Przybyłem tam wcześnie. Z dam nie było jeszcze nikogo oprócz gospodyń, a jedną z nich była moja siostra. Towarzysząc jej przy przyjmowaniu gości, powitałem Panią na jej wstępie do sali.

— *Enfin, voila notre reine*, zawołała moja siostra. Zawsześ piękna, ale dziś piękniejsza jak zawsze. *A propos chère belle*, niewidziałam cię nigdy tańczącej z moim bratem. Zamawiam dla niego pierwszy kadryl.

— Z panem Zdzisławem! który nie wiem dla czego stroni odemnie.

— Boi się, *ma chère. Tu brûles tout ce que tu rencontres*.

— Tak więc dba o swą całość?

— Niestety zgliszcza już tylko podają pani rękę,—rzekłem, prowadząc moją damę do rozpoczynającego się kontredansa.

Ten kontredans był punktem przejścia w dziejach mej miłości, miłości której pewno domyślała się Pani i przedtem (bo w tych rzeczach kobiety są bardzo domyślne), a o której odtąd zacząłem z Panią mówić często i długo. Widocznie mojem przeznacze-

niem było aby Cię jednocześnie poznać i pokochać, jednocześnie wejść w rozmowę i uczucia me objawić. Słuchała mnie Pani łaskawie, śmiejąc się często, czasem uroczem zachęcając spojrzeniem, a choć zwykle byłem monotonny, mówiąc o tem tylko co przepełniało me serce, zdawało mi się jednak że budziłem w Pani zajęcie, niekiedy nawet ożywienie. Zdawało mi się, że chwytałem w przelocie błyskający z oczu twych płomień, błyskający równie świetnie jak rzadko. O piękne panie, nie rozrzucajcie marnotrawnie dyamentów swych spojrzeń. Jeden podniesie bogacz, i to mu sprawi chwilowe zadowolenie, nic więcej; ale inne trafią na biedaka, nieprzywykłego do nich, zawrócą mu w głowie i stać się mogą powodem jego nieszczęść i zguby.

Kochałem Panią długo bez cienia nadziei. Jeżeli marzyłem, to marzenia moje wspierały się na samej tylko miłości. Chwytane w przelocie spojrzenia, czasem słówka, być może od niechcenia przez Panią rzucone, złożyły powoli inną, więcej rzeczywistą podstawę mych marzeń. Stawiałem dalej zamki, ale już nie na lodzie, w mem przekonaniu przynajmniej.

Ale pocóż marzyć o szczęściu, jeżeli można być szczęśliwym. Czy nim być mogę, powiedz Łucyo. Powiedz, czy prawdę czytam w Twych oczach, po-

wiedz, czy mnie kochasz, czy będziesz miała odwagę połączyć z mojem Twe życie? Tej odwagi trzeba Ci dużo, a znaleść ją możesz tylko w sercu. U nóg Twych nie składam bogactw i świetności, ale staję sam z kochającem Cię sercem, z silną wolą i możnością zapewnienia Ci szczęścia.

Czy Pani przyjmie tę skromną ofiarę — Pani, przed którą chylą się głowy pierwszych w narodzie? Czy królowa salonów zechce zapanować w skromnej chatce? To marzenie tylko! Pocóż je Pani wypowiadam? Czyliż nie jestem dziecinny?

Nie! Ja wierzę mocno, że kropelka uczucia, jeżeli tylko istnieje, wzrość może szybko w potok wezbrany, przerwać tamy przyzwyczajeń lub ambicyj i popłynąć swobodnie ku morzu miłości i szczęścia.

*Zdzisław.*

*P. S.* Wychodząc wczoraj z loży, gdzie Pani siedziała z hrabiną Julją, słyszałem jak hrabina prosiła Panią na dziś wieczór. Nie miała by więc Pani przybyć do mej siostry — nie miałbym wyczytać w jej oczach odpowiedzi na me słowa? Choć może to i lepiej. W tych oczach, w których zdawało mi się często że czytałem me szczęście, wolę nieodczytywać

mego wyroku. Pozwoli Pani, jeżeli Jej nie ujrzę wieczorem, że Ją pożegnam tym listem na długo, bo na zawsze.

Z.

Piękna Łucya jest kochaną—to rzecz nie nowa. Może drugi list ciekawszy,— zajrzyjmy.

*Chère Lucie!*

Wspominałam Ci wczoraj o dzisiejszej herbacie u mnie. Odrzekłaś żeś proszona do siostry Zdzisława. Mimo to, ponowię me wczorajsze zaproszenie, mając do tego powody, których ważność, oceń sama.

Przed godziną był u mnie Książe Janusz. Z początku, tak jak zwykle zimny, wolno i z przymusem cedzący konwencyonalne słówka rozmowy, nudził mnie szczerze. Już miałam chęć pozbycia się go jakimkolwiekbądź sposobem, gdy nagle zmienił ton i z pewnem wzruszeniem prosił o chwil kilka poważnej rozmowy o rzeczach mających wielkie dla niego znaczenie.

— *Parlez cher prince*, — *parlez.*

— Zna mnie pani oddawna i tem więcej zadziwi ją to co jej powiem: Jestem zakochany.

— Więcej mnie dziwi samo wyznanie.

— Zaraz się z niego wytłomaczę. Jestem zakochany i to bardzo. W kim — czy mam pani to mówić?

— O nie, to już wiem — w Łucyi!

— A więc już teraz nie powinno pani dziwić i wyznanie. Jesteś pani przyjaciółką panny Łucyi, przyjaciołką z lat dziecinnych, szczerą, zaufaną, rzeczywistą, jednem słowem taką, jakie między paniami nie istnieją prawie. Życzy jej pani lepiej, jak sobie samej. Jednocześnie, jako mężatka, ma pani więcej znajomości świata i ludzi....

Nie będę Ci powtarzała wszystkich słów księcia Janusza. Mówił długo, a muszę mu oddać tę sprawiedliwość, że mówił dobrze. Ten człowiek, na pozór z lodu i głazu, kocha Cię gorąco, utrzymuje, że jeżeli mu oddasz swą rękę, zrobisz zeń najszczęśliwszego ze śmiertelników, czeka z bojaźnią na Twoją odpowiedź, jednem słowem zadziwia każdem zdaniem, każdem wyjawionem uczuciem. Nie lubiłam go dotąd — od dziś jestem jego przyjaciołką. Tylko szlachetne serce, zdolne jest kochać tak, jak on Cię kocha. Szczęśliwa kobieta, która obudzić może taką miłość.

A teraz Łucyo pomówmy z sobą. Pozwól, że Ci powiem co myślę, nie proszona o to. Ale to, co Ci po-

wiem, rozważ i osądź. Młoda rzuciłaś się w wir świata, przebiegając wesoło, pokrywającą się przed Tobą kwiatami, uroczą, wiosenną drogę życia. Wszędzie odbierałaś hołdy, należne Twym wdziękom, należne i Twemu sercu, jakkolwiek ono dla wszystkich było zagadką. Ja jedna, jedyna Twa przyjaciołka, poznać je mogłam i ocenić. Czy to serce, do którego tak wielu pukało, odpowiedziało komu? Zdaje się nie. Nie prawda Łucyo? W ostatnich czasach zajęłaś się Zdzisławem. Upadł biedak związany u nóg Twoich. Bawisz się niewolnikiem, ale czy go kochasz? Jeżeli tak jest Łucyo, posłuchaj co Ci mówi twe serce. Zdzisław godzien Twej miłości,—zdolny uczynić Cię szczęśliwą. Lecz, jeśli go nie kochasz, to przestań go dręczyć, bądź wieczorem u mnie — znajdź słówko nadziei dla Janusza. Poznasz go lepiej, a poznawszy, polubisz i uszanujesz. Choćbyś go niekochała tą miłością, o jakiej marzyłyśmy obie przed parą lat, powiedziałabym Ci jeszcze: przyjm jego rękę—będziesz z nim szczęśliwą.

Przywykłaś Łucyo w domu Twych rodziców do świetności i zbytku;—Zdzisław Ci tego nie zapewni. Jeżeli go kochasz szczerze i kochać będziesz długo— bez świetności i zbytków, będziesz szczęśliwą. Lecz, jeżeli to uczucie przelotnem jest tylko, złudzeniem może, to pomyśl o sobie samej. Książe Janusz jest

partyą, najświetniejszą o jakiej marzyć możesz. Jeżeli serce milczy—niech rosądek wybiera.

Czekam Cię wieczór cały. *Ce pauvre prince* będzie siedział jak na szpilkach. *Heureusement c'est un homme d'esprit.* A jednak coś mi się zdaje że ty kochasz Zdzisława. *Enfin* wybieraj!

*Julie.*

Dwa listy—dwa oświadczenia. Serce i głowa, uczucie i rozum. Łucya zdawała się namyślać. Wzięła w rękę list Zdzisława i westchnęła. Spojrzała na list hrabiny Julii, uśmiechnęła się i znów wpadła w zadumę.

Nagle szybkie a lekkie kroki dały się słyszeć w drugim pokoju. Firanka drzwi, odsunięta drobną rączką, przepuściła wesołą i figlarną przyjaciołkę Łucyi, hrabiankę Emilią.

*Qu'est ce que tu fais donc chère Lucie.* Nie wybierasz się do cyrku? Jedź z nami, potem na bal do mej cioci: zatańczymy się na śmierć. *A propos*, przyjechał z Algeru mój kuzyn Hektor. Ubił lwów nie wiem ile tuzinów, a jak wyładniał: sam się na lwa wykierował. Ty go nie znasz jeszcze: — zawrócisz mu głowę. Spiesz się: już ósma, — cyrk dawno zaczęty. *Ah! quelle robe splendide!*

Łucya słuchała, jakby przebudzona ze snu, tego nawału wyrazów. Ale powoli rozjaśniło się jej czoło. Zaczęła z zajęciem pokazywać suknię balową Emilii.

— Ale chodź, chodź, pojedziemy do cyrku -- potem do mnie na herbatę—przywiozę cię tu żebyś się przebrała i razem na bal. Hektor będzie z nami. *Il est très beau ma chère.*

I śmiejąc się trzpiotka, zarzuciła futro na ramiona Łucyi, uprowadzając ją ze sobą. Słychać było jeszcze śmiechy obu dziewcząt na schodach, potem wszystko umilkło. A dwa listy zostały na stoliku — bez odpowiedzi.

# Jedna Chwila.

*.... I zniknęła jak w sennem marzeniu,*
*A jam jeszcze w naszych uczuć wierzył*
*Cichy ślub,*
*Bom, w tem krótkiem przelotnem widzeniu*
*Długie lata słodkich wzruszeń przeżył*
*U jej stóp.*
*(El.... y).*

Wczoraj byłem u Mieczkowskiego.

Zdawałoby się doprawdy, że kto żyw w Warszawie, ten wnet spieszy uwiecznić swe rysy w renomowanym zakładzie. Wszystkie saloniki były zapełnione. Mężczyzni poprawiali czupryny, damy przed zwierciadłami przymierzały uśmiechy, współpracownicy słońca, z tajemniczemi minami, biegali odnosząc lub przynosząc klisze. W altanie, coraz

nowe figury stawały na wprost mosiężnego działa, wychylającego swój czubek z drewnianej lawety, działa które zamiast wyrzucać, samo odbiera pociski, to wdzięczne, to straszne, płaczliwe lub śmieszne, zawsze też same i zawsze różne. Rzec by można, że na świecie, ile dusz, tyle twarzy, gdyby w istocie na każdą twarz przypadała jedna dusza. Szkoda tylko, że pierwszych znacznie więcej niż drugich!

Wśród gwaru i ruchu zaledwie mogłem się dowiedzieć o nieobecności właściciela zakładu, z którym widzieć się chciałem. Powziąwszy wiadomość, nie miałem tam już nic do roboty i może dla tego właśnie siadłem na kanapce głównego salonu, rozglądając się w około. Wkrótce, mężczyzna wchodzący wolnym krokiem do zakładu, zwrócił moją uwagę. Rysy te były mi znane. Pamięć zaczęła energicznie pracować.

Obserwacya tymczasem prowadzoną była pilnie. Jej przedmiot, mężczyzna w pełni wieku, wysoki przystojny, dystyngowany, zbliżył się do biura i spytał poważnym głosem czyby niemógł dostać portretu panny X. (tu wymienił imię i nazwisko), która przed trzema laty fotografowała się w zakładzie.

— Zobaczę natychmiast, czy zostały jeszcze jakie egzemplarze, — rzekł buchalter, znalazłszy w książce wymienione nazwisko. — Jeżeli są, może będę mógł panu służyć.

— Może?

— Czy z pewnością, niewiem; gdyż niektóre osoby zastrzegają sobie w zakładzie niesprzedawanie ich portretów, a zastrzeżenia te szanujemy święcie.

Mężczyzna wsparł się z lekka o biuro, oczekując wypadku poszukiwań sumiennego buchaltera, który wkrótce podał mu gabinetowej wielkości fotografią.

— Wszak ta, której pan żąda?

— Tak, odparł stłumionym głosem zapytany, zatrzymując w ręku fotografią i wpatrując się w nią chciwie.

— Niestety nie mogę jej panu sprzedać; na kopercie wypisane wyraźnie zastrzeżenie.

Twarz mężczyzny wyraziła przykry zawód. Zatrzymując w ręku fotografią, z którą mu widocznie trudno było się rozstać, spojrzał naprzód badawczo na niewzruszoną twarz buchaltera, a potem powiódł wzrokiem do koła, jakby chcąc się odwołać do jakiej wyższej powagi w zakładzie. Spojrzenie jego

padło wtedy na mnie: w jednej chwili poznaliśmy się nawzajem. Był to mój kolega uniwersytecki Lucyan.

Pamiętam dni wesołe, spędzone z tym nieodstępnym towarzyszem szkolnych mych trudów. Razem siedzieliśmy nad książką, razem używali odpoczynku i zabawy. Ciągłe obcowanie, dziwna zgodność, że tak powiem przylegalność charakterów—wszystko to związało nas silnie. Po skończeniu nauk trzeba było jednak się rozłączyć. On wybrał zawód inżyniera, pojechał w świat, by po żelaznych kolejach życia, dojść do biegłości w budowie żelaznych kolei; ja osiadłem na ojczystych śmieciach, by jak gałganiarz wybierać z nich pokaźniejsze rupiecie i podawać współziomkom... pod postacią nowelli. Los tak zrządził — nie winienem temu, *je Vous assure.*

— A odkądżeś tutaj, co cię sprowadza, długo zabawisz, zkąd przybywasz?—pytałem skwapliwie, ściskając drogiego Lucia, o którym już zdawna żadnej nie miałem wiadomości. Słyszałem tylko, że wciąż buduje koleje na Węgrzech.

— Przyjechałem wczoraj ze Lwowa, rzekł zwolna, po serdecznem powitaniu, na jak długo—niewiem, zależy to od interesów familijnych, które mam do załatwienia.

— Masz czas w tej chwili? chodźmy razem na obiad, pomówimy do woli.

— I owszem, lecz mi dopomóż w tej kwestyi,— i okiem wskazał na fotografią.

Po krótkiej rozmowie z buchalterem, wziąłem na siebie odpowiedzialność sprzedaży fotografii, którą Lucyan, raz jeszcze objąwszy spojrzeniem, schował starannie do kieszeni. Wyszliśmy razem i wkrótce w jednym z saloników angielskiego hotelu, zasiedli jeden na przeciw drugiego, zaspokajając kolejno wzajemną ciekawość, głód i pragnienie. Rozmowa szła ciągle, ożywiona. Gdyśmy już przebiegli pamięcią wszystkie szczegóły lat ubiegłych, i po deserze zapalili cygara, Lucyan zadumał się chwilę, a że nie przerywałem zamyślenia, machinalnie jakby wydobył z kieszeni kupioną dzięki mej interwencyi fotografią i wpatrywać się w nią zaczął uważnie. Może mi się zdawało, może w istocie, zwilgotniały jego powieki. Westchnął głęboko i smutnie.

Szanowałem tę chwilę żalu czy tęsknoty i milcząc patrzyłem na przyjaciela. On się zbudził z chwilowej zadumy, uśmiechnął smutnie i zatrzymując w ręku fotografią przemówił:

„Winienem ci zwierzenie, za pomoc z jaką mi przybyłeś. Niedługa to historya. Może ją nazwiesz błahostką, ale słuchaj. Przed czterema laty wysła-

ny byłem na studya jednej drogi żelaznej w Galicyi, u podnóża Tatrów. Postępowałem z moją partyą za biegiem Dunajca. Studya szły pomyślnie i miały się już ku końcowi. Dla dopełnienia ich w jednym punkcie, postanowiłem zdjąć plan całego urywka doliny. Pomocnicy moi mierzyli i niwelowali, ja wytykałem kierunek profilów do zdjęcia. Oddalając się od wytkniętej przezemnie linii, wkroczyłem w ogród pokrywający całe jedno wzgórze, u którego szczytu bielił się skromny dworek szlachecki. Granicą ogrodu pięła się w górę zygzakiem drożyna, której profil wzbudzał moje inżynierskie oburzenie. Czekając na ludzi z wiechami zatrzymałem się chwilę. Na drodze w dole, dało się słyszeć wolne stąpanie konia. Spojrzałem — jakaś amazonka jechała podgórę.

Była to osoba młoda, której twarz jaśniała życiem i urodą, oczy bystre rzucały spojrzenia. Siedziała na koniu ze swobodą i wdziękiem. Zmęczona przejażdżką, z rumieńcem na twarzy, wolno jechała pod górę. Ja stałem na wzgórzu po nad drogą, oparty o drzewo, patrząc pilnie na amazonkę. Gdy się już równała ze mną, spojrzała żywo w mą stronę. Drgnąłem mimowolnie, ona cofnęła się na siodle. Koń wstrzymany cofnięciem stanął i przez chwilę, ona zmięszana patrzyła się na mnie, ja zapo-

mniałem o wszystkiem mając w nią oczy wlepione. Gdy po chwili podniosłem rękę do kapelusza, by złożyć ukłon pięknej amazonce, ona dotknęła konia szpicrutą i szybko znikła za drzewami.

Tymczasem przybyli moi ludzie. Jeden z nich był miejscowy. Dowiedziałem się od niego że w dworku na górze mieszka zamożny obywatel N, że ma młodą córkę i że ta często konnej używa przejażdżki. Postawiwszy parę wiech w ogrodzie, wracać musiałem nad rzekę do mych pomocników. Tam zastałem list od inżyniera głównego wzywający mnie natychmiast do Bochni. Zostawiwszy zlecenia, puściłem się w drogę a przed oczami rysowała mi się bezustannie wdzięczna postać amazonki. Wiedziałem kto ona, przyrzekłem sobie zajrzeć do dworku za powrotem. Losy inaczej zrządziły.

Wysłany w inną stronę zupełnie, po kilku miesiącach dopiero, w zimie, powitałem na nowo uroczą dolinę Dunajca, po której myśl moja nie przestawała krążyć, uganiając się za pięknem a przelotnem widzeniem, tak wiernie zachowanem w pamięci Przybywszy do dworu na wzgórzu, zastałem go pustym. Państwo pojechali do Krakowa—tyle się dowiedziałem od ludzi. Nie wiem czemu, dziwny smutek mnie ogarnął. Myśl moja biegła wciąż za amazonką, której postać wdzięczna widniała mi zawsze przed oczy-

ma. Postanowiłem szukać jej w Krakowie. Miałem tam dużo znajomych, nie traciłem nadziei.

Obowiązki zawodu, ciężkie, gdy wbrew przeciwne chwilowym pragnieniom, zatrzymały mnie przez miesiąc we Lwowie. Wyrwałem się przecie ztamtąd, spiesząc do Krakowa, gdzie wiedziałem że zastanę państwa N i ich córkę. Wieczorem, w dzień mego przyjazdu, mieli być właśnie w jednym znajomym mi domu. Myśl, że urocze widzenie z doliny Dunajca, ów cień niepochwytny, za którym goniłem od pół roku przeszło, stanie wreszcie przedemną w całym powabie rzeczywistości, cieszyła mnie, choć i niepokoiła trochę. Kochałem widzenie—osoby nie znałem. Mówiono mi że miła, wykształcona, młoda, że podobać się może i bardzo nawet. Ale jaką dla mnie będzie? — ta myśl mnie dręczyła. O ósmej siedziałem już u mych znajomych, drzwi salonu się otwarły, zaanonsowano państwa N. Weszła naprzód poważna matrona, za nią młoda osoba dość przystojna, potem mężczyzna sędziwy—*jej* nie było!

Gospodyni przedstawiła mnie rodzicom i pannie. Z tą ostatnią wszedłszy w rozmowę, dowiedziałem się powoli, że moja piękna amazonka była kuzynką panny N, siostrą cioteczną, że bawiła u nich na wsi całe lato, a na zimę pojechała do Warszawy, że ma wyjść za mąż bogato i pisuje często listy pełne we-

sołości i dowcipu. Jednem słowem dowiedziałem się wszystkiego, o czem wiedzieć nie pragnąłem.

Był to drobny zawód, powiesz. Dla mnie to był cios ciężki. Pokochałem me marzenie, spoiłem się z niem myślą, żyłem niem tylko, a tu go się zrzec wypadało. Wróciłem do Węgier, do pracy. Czas mi schodził ale myśl stała w miejscu, zawsze przy owej drożynie, u wzgórza, nad Dunajcem. W rok potem, jeden z moich kolegów przybył do tej samej miejscowości gdzie bawiłem, by dzielić me prace. Ożenił się świeżo. Żoną jego była panna N. Powitaliśmy się jak dawni znajomi.

— A kuzynka Pani, zawsze w Warszawie?

— Pojechała do Paryża, słaba biedaczka. Niewiem co jej jest doprawdy. Ona, dawniej taka wesoła, dziś mi wciąż donosi same smutki: że ma złe przeczucia, że pewno niedługo pożyje....

— Czy ma jakie zmartwienia?

— Nie przypuszczam. Jej ojciec pan X. jest człowiekiem zamożnym — kocha ją bardzo. Miała iść za mąż, nie z wielkiej miłości co prawda, ale z własnej woli. Potem zerwała sama ten projekt. Ojciec wywiózł ją teraz do Paryża dla rozrywki, ale mi pisze że słaba i smutna. Doprawdy trudno o szczę-

ście tu na ziemi. Nie brak jej żadnego z niezbędnych do tego warunków: ma młodość, piękność, dowcip i bogactwo; a jednak nie jest szczęśliwą.

— Może nie kochała nigdy?

— Co prawda, to nie. Żyła zawsze swobodnie, wesoło, kochana przez wszystkich; lecz wyłączną swą miłością nieobdarzyła nikogo, o ile wiem przynajmniej.

Wiesz co mi przyszło do głowy po tej rozmowie? — jechać do Paryża, poznać mój ideał i starać się o zdobycie jego serca. Okoliczności przyszły mi w pomoc. Wysłała mnie Kompania za kupnem lokomotyw; w parę tygodni byłem w Paryżu. Pierwszego dnia zaraz pośpieszyłem do pana X, mając listy do niego i do córki. Ten pan tu mieszka istotnie, powiedział mi odźwierny, nawet jest u siebie w tej chwili — ale córka....

— Cóż... córka?

— Nie wiem... może pan krewny... a to przykra wiadomość, — przed tygodniem biedna panienka umarła...

Jakim cudem wróciłem sam do hotelu, nie zdaję sobie sprawy; lecz wróciwszy, zostawałem długo w odrętwieniu. Gdym przyszedł do siebie, zacząłem wierzyć w fatalizm.

Wróciłem do Węgier. Żona mego kolegi pokazała mi ostatni list zmarłej, — oto jedenego ustęp:

W chwilach smutku i jakby przedśmiertnej trwogi, pisała panna X, gdy zmęczona cierpieniem, zniechęcona do życia, wpadam w otchłań bez myśli i woli, staje mi w oczach dziwne widzenie. Pamiętasz spotkanie, jakie miałam podczas jednej przejażdżki bawiąc u was, spotkanie z tym młodym inżynierem, o którym rozmawiałyśmy tyle razy. Zdaje mi się że go widzę jak wtedy, opartego o drzewo, patrzącego na mnie wzrokiem pełnym słodyczy. Może i lepiej że go los ze mną nie zetknął, byłabym się jeszcze zakochała, ale co o tem mówić, dziś, gdy mi już do przeżycia zostaje dni niewiele...“

Lucyan umilkł. Z pod jego wilgotnej powieki potoczyła się łza — cześć jej oddałem milczeniem.

Biedny Lucyan! Każdy z nas ma w swem sercu, wypieszczony, wykochany ideał, za którego urzeczywistnieniem, odnalezieniem w życiu, goni po ziemi. Szczęśliwy, kto odnajdzie i dosięgnie, — stokroć biedny, kto dojrzy i straci!

# Arya z Faworyty.

O! ten co swoje szczęście połączył z kobietą,
Chwycił gałąź bluszczową nad przepaścią skrytą;
Urywa ją i pada, ginie wśród kamieni,
A na górze bluszcz bluszczem znowu się zieleni.
*(Aleksander Fredro).*

W arystokratycznym salonie państwa X, balowo przybranym i oświeconym, roił się tłum gości. Przed tańcami zapowiedziany był mały koncert wokalny, na który złożyć się miały siły najpierwszych artystów opery Włoskiej, zimującej w Warszawie. Tymczasem się tłoczono, witano, zachwycano wzajemnie przy spotkaniu, by się obmawiać wnet po ro-

zejściu. Oczy pięknej połowy rodu ludzkiego, próbowały siły swych pocisków, zdolnych przebijać najkrochmalniejsze nawet białe puklerze brzydkiej. Połowa brzydka, opancerzona skuteczniej jeszcze w zniechęcenie i nudę, zachowywała, wystawiając się na te ciosy, stoicyzm godny uznania. Już obszedłem w około cały salon, złożywszy znaczną ilość różnego nachylenia ukłonów, wykrzywiwszy twarz swą razy mnóstwo, rozlicznemi wyrazami uśmiechów, — gdy falami salonu skołatany, rzucany to w lewo to w prawo, ujrzałem wreszcie na brzegu wybawienia kolegę z czasów szkolnych, Gustawa. Wyciągnął do mnie rękę i wnet umieściłem się przy nim, we framudze okna, w pobliżu drzwi wchodowych. Jednocześnie, po kilku akordach fortepianu, dał się słyszeć dźwięczny głos Trebelli, intonujący z uczuciem, kawatynę z Kopciuszka.

Cofnąłem się w głąb framugi, by słuchać w skupieniu ducha. Gustaw stał obok, wysunięty więcej na salon, słuchał równie w milczeniu, rzucając niekiedy na poblizkie drzwi wchodowe dorywcze a żywe spojrzenia. W młodym człowieku, pełnym elegancyi, obytym z życiem salonów, tylko wprawne oko towarzysza z lat dziecinnych dostrzedz mogło pewien niepokój wewnętrzny, jakąś niecierpliwość, zdradzającą się zaledwie sposobem trzymania w pal-

cach łańcuszka od zegarka i niedostrzegalnem drżeniem powiek. Zacząłem mu się przyglądać uważnie, kołysany rozkoszną melodyą Rossiniego, którą Trebelli wygłaszać umiała tak cudnie.

Po wyjściu ze szkół, widywałem rzadko Gustawa, obrawszy inny zawód i na dłużej lub krócej opuszczając nieraz Warszawę. On tu mięszkał stale, skończył prawo i urzędował w sądownictwie. Rodzice jego żyli na wsi, nie bogaci, ale też i nie biedni; ojciec nie zapominał o synu i nie zostawiał go na łasce szczupłej assesorskiej pensyjki. To też Gustaw, żyjąc skromnie, mógł bywać wszędzie; a że był gładki, przystojny, wykształcony, widziano go dobrze we wszystkich towarzystwach. Od czasu do czasu, spotykałem się z nim po salonach, a nigdy się nieobeszło bez rozmowy o latach szkolnych, o dniach uroczych, w których żyliśmy różową przyszłością, śniąc o niej i marząc. Obaj, wszedłszy w świat, ujrzeliśmy już wcześnie tę przyszłość wymarzoną pierzchającą w dal przed nami, coraz to więcej mglistą i niewyraźną; lecz młodzi i duchem silni, brnęliśmy dalej odważnie w tej gonitwie za szczęściem, na kresie której śmierć się tylko najczęściej ukazuje. Gustaw nawet, mimo że już nie z dawnym zapałem i energią, dźwigał swój życiowy pakunek, wierzył w cel do którego dążył, wierzył w pewne szczęście,

którego mi nie formułował nigdy, wspominając o niem tylko przelotnie i tęsknem pozdrawiając westchnieniem.

Teraz stał obok milczący, zdawał się wsłuchiwać w urocze dźwięki cudnego głosu Trebelli, a może nie dochodziły go one, może gdzie bujał myślą po przestworzu, goniąc za powiewnym, niedościgłym ideałem. Bo na ziemi, nie słyszałem żeby go spotkał. Nie słyszałem nawet o żadnem jego przelotnem przywiązaniu, żadnem półuczuciu, na które ludzie zdobywają się jeszcze, od czasu do czasu, przy ogólnej uczuciowej posuszy. Nie rzucił w świat ani odrobiny bogatego plonu, który chował w sercu, chował w całości, strzegąc święcie, by go złożyć u stóp odnalezionego w życiu ideału. Oto, co myślałem o Gustawie, podczas śpiewu Trebelli i krótkiej przerwy po tym śpiewie. Po chwili, znów odezwał się fortepian,—baryton Rota wystąpił z piękną aryą z Faworyty: a jednocześnie, czułem że Gustaw drgnął, jakby prądem galwanicznym wstrząśniony i cofnął się ku oknu. Spojrzałem i przekonałem się wnet, że moje sądy o nim były mylne.

We drzwiach salonu, które się rozwarły bez szelestu, ukazała się hrabina W., ze swą córką Heleną. Hrabina, wysoka i pyszna, obejmowała dumnem spojrzeniem cały salon, nie zwracając uwagi

na rozstępujące się przed nią a bliżej drzwi umieszczone osoby. Hrabianka, znacznie niższa od matki, młoda, pełna życia i wdzięku, wchodziła śmiało, bystrem okiem rzucając dokoła. Wzrok jej wnet się zatrzymał na Gustawie i spoczął na nim dłużej, wywołując spostrzeżone przezemnie wzruszenie. Gustaw się cofnął, nie spuszczając z niej oczu — i w przeciągu chwil kilku, przedzielających ukazanie się we drzwiach tych Pań od zbliżenia się do nich gospodarza domu, młoda para wymieniła mową spojrzeń, cały świat myśli. Rota śpiewał właśnie początkowe słowa aryi: *Pour tant d'amour ne soyez pas ingrate*, a oczy Gustawa mówiły toż samo, tylko szczerzej i rzewniej. Helena rozumiała tę mowę. W jej oczach, pełnych życia i dowcipu, zabłysnął uroczem światłem promyk, wychodzący wprost z serca. Piękną była w tej chwili, choć nie była pięknością. Widzimy często w kobietach aniołów lub szatanów, zawsze cudnych i jednych i drugich. Helena, stanowiła typ wyższy. W jej spojrzeniu nie widniało ani niebo, ani piekło,—malowała się żywa, gorąca i szczera miłość kobiety.

Prowadzone przez gospodarza, Panie W. posunęły się w głąb salonu. Gustaw, wsparty o okno, stał w milczeniu, kołysany dojrzanem na jawie widzeniem. Wkrótce skończył się koncert i rozpoczęły

tańce. Widziałem Gustawa zbliżającego się do miejsca, gdzie siedziały hrabina W. i jej córka, witanego ozięble przez matkę, żywo i przyjaźnie przez córkę. Widziałem go potem, tańczącego kontredansa z Heleną, rozmawiającego z ożywieniem i błogim wyrazem szczęścia na twarzy.—Szczęśliwy! pomyślałem, odnalazł swój ideał....

— Czy widzisz, przerwał mi Ignaś, także towarzysz szkolny i mój i Gustawa, czy widzisz jaki Gucio ożywiony w tańcu z hrabianką Heleną?

— I cóż ztąd?

— Zakochany po uszy, lecz wątpię by mu się to zdało na wiele. Mama chowa córunię dla jakiego milionera i dochowa pewno.

— A córka?

— No, kogóżbyś przełożył na jej miejscu,—może Gustawa? Tylko prawda,— ty jesteś z wieku Trubadurów.

I zadowolony z siebie Ignaś pobiegł dalej, a ja niedługo potem opuściłem bal, zostawiając Gustawa siedzącego przy Helenie i prowadzącego rozmowę z jednaką zawsze rozkoszą i zajęciem.

Wkrótce, przyszło mi pożegnać Warszawę na lat kilka. Odjeżdżając, byłem u Gustawa, ale go nie za-

stałem w domu. Innemi sprawami zajęty, przesiedziałem we Francyi całe trzy lata; z Gustawem nie żyłem tak blisko by prowadzić korrespondencyą i ani wiedziałem co się z nim dzieje. Po trzech latach, zdarzyło mi się jednej zimy zawitać do Nicei. Zajeżdżając do hotelu *des Anglais*, wpadłem na wychodzącą ztamtąd elegancką parę, prawdopodobnie małżeństwo, bo pod rękę. Mężczyzna—nie był mi znany, w kobiecie—poznałem hrabiankę Helenę.

Zmieniła się i wypiękniała jeszcze, od czasu jak ją widziałem raz ostatni, na owym wieczorze razem z Gustawem. Przyszła epoka zupełnego rozkwitu wszystkich jej wdzięków, była teraz kobietą czarującą. I mniej piękne od niej, ładnieją często po zamąż pójściu; zdawało się że ona zyskała na tej zmianie wszystko, czego jej brakło do pełni wdzięków niewieścich.—A Gustaw? pomyślałem. Z dwojga młodych ludzi, których rozmowę drogą spojrzeń pochwyciłem wtedy, ją widzę tylko w całym blasku wdzięków i życia; czy i on się odmienił tak pomyślnie?

Zająwszy numer, kazałem sobie przynieść książkę przyjezdnych. Służący mię objaśnił: że młoda dama, którą w bramie hotelu spotkałem wychodzącą razem z mężem, jest księżna R., że książe przybył

z żoną do Nicei tylko na parę godzin przedemną. Rzuciłem jeszcze okiem na listę osób mieszkających w hotelu, i ze zdziwieniem znalazłem na niej nazwisko Gustawa.

Spytałem czy jest w domu i kazałem się doń zaprowadzić czemprędzej. Mieszkał na dole, w pokoju którego okna wychodziły na *Promenade des Anglais* i zkąd widok się rozciągał przecudny, na całą *Zatokę Aniołów*. Wszedłszy, ujrzałem w fotelu przy otwartem oknie.... czyż Gustawa? nie,— jego cień tylko!...

Blady, z zapadłemi oczyma, gorączkowym rumieńcem na twarzy, wychudły do niepoznania, siedział zgarbiony, oddychając ciężko przepysznem powietrzem morza. Wyciągnął do mnie rękę, bez uśmiechu, bez zdziwienia, z tem spojrzeniem zapożyczonem jakby z po za ziemi, jakiem patrzą dogorywający już suchotnicy. Siadłem przy nim w milczeniu.

— Widzisz, rzekł do mnie głosem stłumionym, po trzech latach, co się zostało z człowieka. A z marzeń jego młodości, z celów i pragnień — mniej jeszcze.... nic!

I zakaszlał.— Nie dałem mu mówić więcej, rozpowiadać zacząłem o sobie i znajomych.

Przed oknami hotelu, przesuwał się jak w panoramie, elegancki, zimowy świat Nicei. Jedni szli na spacer nad morze, drudzy do ogrodu obok, gdzie o tej godzinie zwykle grywała muzyka wojskowa. I zagrzmiała wkrótce, zaczynając od melodyi Donizetti'ego, którą pamiętałem tak dobrze, od owej aryi z Faworyty.

—Pamiętasz, mówił Gustaw, pamiętasz ten wieczór, który mniemałem że rozstrzygnie me losy .... dała mi wtedy słowo .... w rok potem....

Głos jego słabnął. Oczy, skierowane na bulwar, wlepiły się uporczywie w jeden punkt. Chciał mówić jeszcze.... i omdlał.

Rzuciłem okiem w stronę, w którą patrzał. Helena stała tam z mężem. On jej ukazywał widniejący w dali zamek u szczytu góry, ona spoglądała wesoło, z zajęciem, swobodna, — szczęśliwa!....

Biada temu, kto czuje gorąco, swe serce zamienia na świątynię i ołtarz w niej mieści dla bóstwa. Bóstwo się znudzi—uleci, ołtarz się nie ostoi bez niego, a padając, zwali w gruzy i świątynię. Lecz i w sercu Heleny był także taki ołtarz, tylko wytrzymalszy—bo złoty!

# WIDZENIE.

.... A Ty Ojcze Przyrody! coś w cudowny
chór zgody
Wszystkie dźwięki Wszechświata zespolił,
Usłysz głos mój co woła: ześlij grobom
anioła,
By je tęczą światłości okolił!
*(Marya Ilnicka).*

Cisza nocy letniej, uroczej, ma swoją melodyą, którą nie każdy dosłyszy, pojmie i odczuje. Może to nie melodya zresztą, może tylko słabe dźwięczne szelesty, szumy i powiewy, które dusza marzyciela szykuje w szeregi tonów: tkliwych, rzewnych, radosnych lub wspaniałych. Zaszedłszy szukać samotności do jednego z zamiejskich ogrodów, wsłuchiwałem się

w tę czarowną muzykę ciszy. Melodya była tęskna i łzawa. Słyszałem jakby jęk cichy, żałosny, ale tak wyraźny, tak prawdziwy, że się mimowoli obróciłem w stronę, z której wychodził i iść zacząłem naprzód. Wązka ścieżka doprowadziła mnie wkrótce do granicy sąsiedniego ogrodu, zkąd mniemałem że wychodzi ów głos, tęskną skargą przemawiający do mej duszy. Nie jestem mistykiem, nie miałem nigdy stosunków z duchami i niezbyt w nie wierzyłem — przyznaję; lecz ten jęk cichy, wychodzący z ogrodu, w którego ciemnię kierowałem napróżno me oczy, przemawiał do mnie jakby głos jaki z po za tego świata, jakby skarga pokutującej duszyczki.

—Biedna duszyczko, westchnąłem w myśli, skazana na błąkanie tu, wśród drzew ustronia, wzruszają mnie twe skargi. Powiedz mi kim jesteś, za co cierpisz. Jeśli ci pomódz nie zdołam, zapłaczę przynajmniej razem z tobą, westchnę szczerze do Boga. Może ta modlitwa współbolejącego serca dosięgnie niebios, może ulgę dla ciebie wyjedna.

Gdym tak myślał w duchu, przez szczyty drzew przedarł się łagodny, jasny promień księżyca. Zwolna zstępując ku ziemi, zatrzymał się na łące o parę kroków odemnie. Oblaną blaskiem srebrnego światła, na wskroś *przejrzystą*, *ujrzałem* powiewną, uro

czą postać dziewicy. Posuwała się ku mnie, jakby płynąc wśród powietrza, i zbliżyła do samej granicy ogrodu. Tu się zatrzymała i podniosła głowę. Spostrzegłem ślady łez w błękitnych jej oczach, patrzących na mnie łagodnie. Chciałem przemówić, spytać kto ona,—ale czytała w mej myśli i uprzedzając mnie, głosem cichym a dźwięcznym, przemówiła sama.

— „Dzięki ci przechodniu, coś dosłyszał me skargi, zlitował się i westchnął za mną. Co wieczór ludzi tam wielu się bawi, lecz kto słucha tylko uchem ciała, tego głos mój nie dojdzie. Tyś się pierwszy wsłuchał duchem w tę ciszę ustronia, ciebie doszedł mój jęk żałosny. Chcesz poznać jego przyczynę, wiedzieć kim jestem, czemu się błąkam tutaj wśród nocy?— Posłuchaj mych dziejów.

Przed laty stał dom drewniany, między temi drzewami; w nim mieszkała moja rodzina. Rodzic miał pola z obu stron drogi, pracował razem z braćmi memi. Mnie matka przy sobie trzymała, pieszcząc i strzegąc jak oka w głowie. Rosłam przy niej szczęśliwa, w dzień się krzątałam koło domu, wieczorem nuciłam śpiew mym braciom, gdy wracali od pracy i witali mnie zdala uśmiechem. Proboszcz mnie czytać nauczył gdym już większą była.

Codzień, po wieczerzy, wszyscy w domu siadali w koło ognia, ja Świętych czytałam żywoty, i tak nam płynął dzień za dniem, cicho, spokojnie i jasno.

Cała wieś mnie lubiła, każdy witał uśmiechem, gdy mimo wrot naszych przechodził. Kochały mnie i rówienniczki moje, wśród których w kościele, co święto, klęczałam kornie schylona. Ja sercem przylgłam do jednej z nich najwięcej, do Małgosi, córki ubogiej wdowy, mieszkającej w chatce tam, bliżej miasta.

Z Małgosią biegałyśmy codzień po polach, zbierając kwiaty, plotąc korony i strojąc się niemi nawzajem. Ona tak lubiła mnie wieńczyć. Nieraz ubrawszy w kwiaty mą głowę, wpatrywała się we mnie długo, potem zarzucała mi ręce na szyję i mówiła słodko:

— Ja cię tak kocham ma droga, o i ty mnie kochasz, — nie prawda?

A ja ją ściskałam w milczeniu.

Upłynęło lat kilka. Dorosłyśmy obie, nie przestając się kochać i widywać prawie codziennie. Ja byłam już sama w domu z rodzicami, pożenili się bracia, osiedli każdy osobno. Smutno mi było czasem,—biegałam wtedy do Małgosi. Siedząc w progu

jej chatki rozmawiałyśmy całe wieczory, a ona kochała mnie jak dawniej, widziała we mnie siostrę i brata,—rodzeństwo całe!

W koło mnie kręcili się chłopcy: byłam najpiękniejszą i najbogatszą dziewczyną we wsi. Nie zwracałam na nich uwagi, nie podobał mi się żaden. Janka może trochę lubiłam, Janka, mego kuzyna.

Raz rzekła mi matka:—Janek cię kocha, chciałby żenić się z tobą.—Niech sobie innej poszuka, odpowiedziałam. I Janek chodził potem smutny, czas długi. Żal mi go było trochę, ale nie myślałam o tem wiele. Małgosia, gdy się jej zwierzyłam, nic nie rzekła, tylko się patrzeć na mnie zaczęła uważnie i długo.—Biedny Janek szepnęła potem, on taki dobry i tak cię kocha.

— Więc ci się zwierzał? spytałam.

Małgosia się zarumieniła i zamilkła.

I znów upłynął czas pewien. Janka nie widywałam wcale, jakby stronił odemnie. Małgosia była zawsze ta sama, kochająca i tkliwa. Lecz gdy wieczorami, siedząc w progu jej chatki, rozmawiałyśmy obie, nieraz, z okiem w niebo wlepionem, w długą wpadała zadumę. Była wtedy tak piękną, rumieniec krasił jej lica, pierś podnosiła się szybko. Zbu-

dzona z zadumy spoglądała na mnie okiem zamglonem i mówiła tkliwie:

— Tylu chłopców w koło ciebie chodzi, a ty z nich żadnego nie kochasz, żadnego?

Nie wiem czemu, ta tkliwość, te marzenia, nie podobały mi się w Małgosi. Ja, jeszcze nie znałam co miłość; gniewało mnie to, że ona ją już przeczuwała. Myślałam, że ścisłym węzłem przyjaźni złączone, wystarczymy sobie, że nie będziemy szalały, jak inne dziewczęta. A tu ona zawodziła me nadzieje. O, bo kochała pewno, — ale kogo?

Raz wieczorem wróciłam od Małgosi. Ojciec drzemał już przy kominie, matka się krzątała koło gospodarstwa. Wieczór był śliczny. Siadłam jeszcze przed domem, by liczyć rzadkie światełka wioski, a myślą bujać swobodnie po znanych mi polach i łąkach. Na drodze było ciemno i cicho. W tem zdala dobiegła mnie nuta piosenki. Poznałam głos Janka. Szedł drogą ku naszemu domowi, lecz gdy się zbliżał, zamilkł. Myślałam, że do nas wstąpi, ale nie, przeszedł mimo domu, i gdy się oddalił trochę, znów śpiewać zaczął.

Byłam ciekawa gdzie idzie, czemu tak śpiewa wesoło, wybiegłam z domu i drogą podążyłam za nim zdaleka. Szedł w kierunku chatki Małgosi. Gdy

się już zbliżał, jakiś cień biały wysunął się z boku na drogę. Janek się zatrzymał, ja się zbliżyłam chyłkiem po za drzewami. Przy Janku stała Małgosia, księżyc ich oświecał oboje. On ją witał radośnie, mówił że szczęśliwy gdy ją widzi, gdy rozmawiać z nią może swobodnie. Ona się uśmiechała do niego, patrzała nań czule, miłośnie...

Na ten widok zapłonęłam gniewem, na Małgosię, na Janka, na siebie samą. Niepowinnam była zazdrościć Małgosi, sama odepchnęłam Janka od siebie. A jednak myśl, że ona będzie mieć to szczęście, którem ja pogardziłam, gniewała mnie i niepokoiła. Ponurem okiem patrzałam się na nich długo z poza drzewa. Gdy się rozeszli dopiero, wróciłam do domu.

Nazajutrz, o tej saméj godzinie, czekałam przed domem, a gdy Janek przechodził, zawołałam na niego. Zaczepka z mej strony go zdziwiła. Myślał, że go się tylko spytać chciałam o co. A ja z nim zaczęłam rozmawiać długo, spoglądałam nań z pod oka, gniewałam się gdy chciał odchodzić, byłam dlań słodką, tkliwą, jak nigdy. Z początku, myślał że to żart tylko, spoglądał w stronę chatki Małgosi. Potem siadł przy mnie, patrzał się ciekawie i niedowierzająco. A gdy matka zawoła-

ła na mnie i ja mu rzekłam dobranoc wesoło, poszedł nie ku chatce Małgosi, lecz ku domowi swemu, milczący i zadumany.

Drugiego dnia, z boku okna ukryta, spoglądałam na drogę. Janek przechodził, myślał że mnie przed domem zobaczy, zatrzymał się chwilę i szukał wzrokiem do koła. Spostrzegłam że był zakłopotany, nie wiedział, czy ma iść do Małgosi, czy do nas. Namyślił się w końcu i przeszedł koło domu, nie wstępując. Zazdrość mną owładnęła szalona. Cała drżąca, wybiegłam przed dom i zawołałam na Janka. On się wrócił i znów usiedliśmy przed drzwiami i znów byłam taką jak dnia poprzedniego, rozmowną, tkliwą i słodką. Janek nie oglądał się więcej w stronę chatki Małgosi. Następnych dni zachodził już do nas bez namysłu.

Małgosia musiała wiedzieć o tem, bo posmutniała i pobladła. Przykro mi było patrzeć na jej twarz smętną, w której czytałam wyrzut, cichy choć bolesny. Przestałam chodzić do niej codzień. Tymczasem Janek przesiadywał u nas całe wieczory, we wsi już mówili że idę za niego. Raz siedzieliśmy przy ogniu, moi rodzice, Janek i ja, gdy wbiegła matka Małgosi, zestrachana, wołając: — chodźcie, pomóżcie, ona umiera!

Janek rzucił się ku drzwiom i pobiegł szybko. Ja poszłam wolno z rodzicami, prowadząc starą matkę Małgosi. Gdyśmy przybyli i weszli do chatki. Małgosia leżała blada w pościeli, Janek klęczał przy niej i płakał, doktór przywieziony przez proboszcza, stał przy łóżku milczący... Małgosia umierała.

Rzuciłam się ku niej zrozpaczona, wołając: — przebacz, przebacz Małgosiu! Ona spojrzała na mnie łagodnie, chciała mówić, lecz jej zbrakło na sile... już nie żyła!

Klękłam przy zmarłej i chciałam się modlić, ale nie mogłam. Wróciłam do domu, nie znajdując miejsca dla siebie, dręczona wyrzutami. Co się z Jankiem stało, nie pomnę. Wiem tylko, że był na pogrzebie Małgosi, rzucił garstkę ziemi na jej trumnę i potem znikł bez wieści.

Mnie rozpacz ogarnęła, ciemna, bez nadziei. Jedyną miałam przyjaciółkę i zabiłam ją przez zazdrość. Życie mi się wydało nieznośnem. Przyszła chwila obłędu, wybiegłam z domu szalona i śmierć znalazłam w stawie.

Nie położyło to końca mym cierpieniom. Winy moje były wielkie, Bóg mnie skazał na długą pokutę. Tu, gdzie się urodziłam i wychowałam, gdzie

mieszkali rodzice moi przed laty, tu się błąkam nocami płacząca. A dotąd nie zaznam spokoju, dotąd cierpieć będę za me winy, aż wśród tych drzew, które dawniej dom ojców moich otaczały, ktore były świadkami zdrady przyjaźni, przyjaźń święta, nieskalana, nie zamieszka. Lat już wiele minęło, ja czekam i czekam ciągle...."

Chmura zachodziła powoli, zakrywając księżyc, na którego promieniu rysowała się przejrzysta postać dziewczęcia. Promień się zwężał i znikał. — Z nim razem znikło widzenie.

# Łzawe Swaty.

Zapomnę siebie, lecz niech o mnie święta,
Niech kochająca kobieta pamięta!
(*Narcyza Żmichowska*).

Wchodząc do salonu prezesewej na piątkowe zebranie, powitany zostałem przez gospodynię, niezwykle rozradowaną i zajętą.

— Jak to dobrze że pan przybywa, bo dziś piątek uroczysty u nas. Zgadnij pan kogo mamy? Witolda!

Pojąłem łatwo wyjątkową uroczystość piątku. Zacna prezesowa, niezmordowana w szlachetnem

przedsiewzięciu wydania za mąż wszystkich trzech córek, po znalezieniu dwóch zięciów, zagięła parol na trzeciego, w osobie oddalonego kuzynka Witolda. Już się zbliżała do upragnionego celu. Witold, odziedziczywszy po rodzicach piękny majątek w Podlaskiem, zaczął się zagospodarowywać i myśleć o ożenieniu. Oko jego zatrzymywało się często na rumianej twarzyczce kuzynki Rózi. I marzył wtedy i dumał, a na przesuwających się po czole młodziana obłokach myśli, budowała prezesowa wspaniały gmach swych nadziei; gdy w tem... wszystko runęło. Witold nagle wyjechał za granicę; po co, dla czego, nikt nie wiedział, a co najsmutniejsze, nie wiedziała i prezesowa. Została w rozpaczy, widząc wymykającą się partyą, której równej, nie spodziewała się znaleźć. Rok upłynął, już zwątpiła o wszystkiem, już się miała zdecydować na innego kandydata, nie takiego jak Witold, lecz cóż było robić, gdy utracony, zaginiony kuzynek, zjawia się równie nagle jak przepadł. Tryumfująca twarz prezesowej wyrażała początek wiary w szczęśliwe *fatum*, które niezależnie od woli ludzkiej, skuło nierozerwanym węzłem losy Witolda i Rózi.

Lecz nie wydawała mi się złączoną tak ściśle młoda para, rozmawiająca w tej chwili na środku salonu. O ile Rózia, zdobna wdziękami młodości

i życia, wypytywała się wesoło swego kuzyna o jego podróże i przygody,—o tyle Witold, salonową tylko uprzejmością krył zdradzający się w odpowiedziach niepokój i roztargnienie. Myśl go jakaś pochłaniała inna, uprowadzała w dalekie krainy, gdzie wesołe zapytania Rózi, często z trudem zaledwie mogły zbiega odnaleźć i zatrzymać. Ledwie poznawałem dawnego Witolda, którego charakter spokojny i silny, budził zawsze moje uwielbienie. Ta pierś, której niepokój usiłował skrywać przed okiem ciekawych, wstrząśnioną być musiała do głębi i mocno, gdy się jeszcze nie zdołała ukołysać, nie wróciła do równego tętna przeszłości.

Tymczasem wchodzili do salonu, witani przez prezesowę, nowi goście, państwo N. Pana Michała, zagorzałego hreczkosieja, znałem z lat młodych. Mieszkał stale na wsi w Podlaskiem i rzadko ukazywał się w Warszawie. Żonę jego zaledwie parę razy widziałem. Była znacznie młodsza od męża i ile wnosić mogłem z krótkich rozmów, miła i wykształcona. Gdy Rózia biegła ku niej na powitanie, a zostawiony w spokoju Witold chętnie pewno usuwał się w głąb salonu, mnie porwał w swe barczyste ramiona Pan Michał, a uściskawszy, rozpytywać zaczął o różne dzieje. By spokojniej po-

mówić opuściliśmy salę, przeszli buduar sąsiedni i usiedli w małej biblioteczce prezesowej, poprzedzającej pokój, w którym grano w karty.

— Tożeśmy się chyba kopę lat nie widzieli, mówił pan Michał głośno a serdecznie. Cóż się tu dzieje u was? Człek się na wsi zasiedział, o bożym świecie nie wie, a jak stanie w Warszawie, to radby wszystko na raz usłyszeć. Powiedz że mi, co robisz, gdzie nasi dawni znajomi?

Poczciwego Michała, nie łatwo było zbyć ogólnikiem. Wejść musiałem w szczegóły, zaledwie starcząc ciągłym zapytaniom. Gdy wysłuchał wszystkiego o mnie i kolegach, rozpowiadać zaczął o sobie. Dowiedziałem się, że jak zwykle na parę dni zaledwie przyjechał do Warszawy, że mu żona trochę słaba, — jak to wiesz, nerwy, — że chciał ją wyprawić za granicę, ale woli siedzieć w domu przy dziecku, że sam zdrów jak ryba, jak pojedzie nie prędko znów zajrzy do Warszawy; — żona może przyjedzie za sprawunkami, on będzie pilnował gospodarstwa...

Jakkolwiek zacny Michał był mi przyjacielem od serca, słuchałem go jednak z niezbyt wielką uwagą, wiedząc prawie naprzód, co mi powie. Tymczasem błąkał mi się po głowie ów zagadkowy

Witold, którego niepokój zauważyłem przed chwilą a nagły wyjazd i powrót zaciekawiły mnie mocno. Przypomniałem sobie że na wsi sąsiadował z Michałem.

— A wiesz zagadnąłem, że Witold powrócił z zagranicy, i jest tutaj.

— Już to, powiedziawszy prawdę, odparł pan Michał z miną niechętną, nie mam ja do niego wielkiego nabożeństwa. Z początku gdy osiadł w Wólce, żyliśmy po przyjacielsku. Bywał u nas często, przyglądał się gospodarstwu, myślałem że to będzie człowiek przyzwoity. Ale potem, ni ztąd ni zowąd, wpadł w jakąś melancholiją. Parę razy polując z chartami, spotkałem go błądzącego po lesie. Wreszcie, jednego pięknego poranku, zjawia się u nas z pożegnaniem. Był naprzód u żony, potem przyszedł do mnie do kancellaryi.

— A gdzież się to sąsiad wybiera?

— Żeby ci prawdę powiedzieć panie Michale, to nie wiem.

— I kiedyż wracasz?

— Może nigdy!

— A co za djabeł, pomyślałem. Wieś ładna i grosza zapas, mógłby się ożenić i żyć jak Bóg

przykazał a on jedzie i sam nie wie po co. Dałem krzyżyk na drogę... Chwilkę tylko mój drogi, przywitam kochanego sędziego, który tam zasiada do wista.

Tu pan Michał przerywając opowiadanie, poskoczył do sąsiedniego pokoju, zkąd już tylko usłyszałem jego głos żałosny:—wybacz mnie duszko ale mnie gwałtem do kart zasadzili.

Zostałem sam w biblioteczce, na fotelu obok drzwi buduaru i zamyśliłem się chwilę. Zadumę mą przerwał odgłos rozmowy w buduarze, dochodzącej mnie z początku niezrozumiałemi tylko dźwiękami. Zdołałem jednak odróżnić głos Witolda wzruszony i drżący. Łagodny i cichy głos kobiety, przypomniałem sobie dopiero później. Była to żona pana Michała!

— Pamięta pani, odezwał się Witold po chwili milczenia, owe imieniny w sąsiedztwie, na których ujrzałem ją poraz pierwszy. Nieznany w okolicy, niepochopny do kart ani do wina, które wyłącznie zajmowały mężczyzn, przysunąłem się z konieczności do kobiet. Przedstawiono mnie pani.

— Jakkolwiek przybywający z wielkiego miasta, nie miałem rozwiniętej salonowej łatwości. Do osoby nieznajomej, zbliżałem się ciężko, rozmowa się wlekła,

jeśli jej nie podjęła ta przychylna uprzejmość, zdolna poruszyć i przezwyciężyć najsilniejszą towarzyską apatyą. Ta uprzejmość, pobłażliwa, łagodna, ta słodycz przebijająca po za nią, pociągnęły mnie do pani, stały się podstawą późniejszego uwielbienia.

— Zacząłem bywać u państwa, w doświadczeniu pana Michała czerpiąc gospodarskie wskazówki, znajdując słodki odpoczynek po trudach dziennych w pani towarzystwie i rozmowie. Ile miłych wieczorów spędziłem siedząc naprzeciw pani na tym ganku w ogrodzie, wśród ciszy wiejskiej, przerywanej tylko jednostajnym odgłosem kroków pana Michała, chodzącego z cygarem koło domu i wesołemi wykrzykami Wandzi bawiącej się na trawniku. Godziny mijały szybko na czytaniu i rozmowie, mówiłem pani o sobie i o swoich, słuchałem jej urywkowych zwierzeń i uwag. A z tych odpowiedzi, słów przelotnych, niemych spojrzeń czasem, odtworzyłem obraz w mem sercu, skupiłem w jeden kontur wyraźny, niepochwytne rysy twej duszy. Do owej pory znałem już kobiet wiele,—w pani poznałem kobietę!

Urocze to były chwile, w których niczego nie żądałem, niczego nie oczekiwałem i wierzyłem, żem

niczego nie pragnął. Czułem się szczęśliwym widząc panią, słuchając dźwięków jej głosu, odbierając dowody przychylności i przyjaźni. Ukochałem cię tem uczuciem świętem, przejrzystemi jasnem, zdolnem opromienić świat cały urokiem ideału. Lecz wzbijając się ku niebu, zapomniałem o ziemi a ziemia upomniała się o swe prawa. Cichy płomyk niebiańskiego szczęścia, wzburzony podmuchem ziemskich prądów, zahuczał ogniem namiętnym. Pierś żywiona łagodnem ciepłem idealnych zachwytów, nie oparła się szalonym porywom... i wyznałem ci wszystko!

Słuchała mnie pani przerażona i smutna. Gdy skończyłem, oczy patrzące na mnie z żałosnym wyrzutem opuściły się ku ziemi, pod powieką zaświeciła łza. Poznałem mój błąd, lecz zapóźno. Szał uniesienia zerwał węzeł uczuć cichych i jasnych; dzieliło nas już me wyznanie palące, namiętne. Pożałowałem mych słów i cofnąłem się w głąb ducha. Traciłem, co mi się stało najdroższem, traciłem posiadanie mego ideału, w zakresie tak uroczym choć szczupłym. Otchłań smutku rozwierała się przedemną, tłum dzikich myśli przelatywał umysł. Lecz nie byłem sam: duch siostrzany był przy mnie, odczuł boleść mego ducha; — słowa pociechy

płynęły głosem cichym i łagodnym, by koić w żalu, podnosić w upadku. Nie było w nich wyrzutu, tylko smutne współczucie;—więcej niż współczucie, współboleść.

Ale odtąd spokój stał mi się obcym, bo już nie był wspólnym. Spoglądała pani na mnie z tą samą zawsze słodyczą, ale już nie z tą ufnością i wylaniem. Przedtem, odczuwałem wszystkie jej myśli, jasne, wyraźne; teraz, na przezroczu mego nieba zawisła nie chmura, ale mgła jakaś, zacierająca kontury, przyćmiewająca blaski. Wśród tej mgły ciężkiej, duszącej, nie mogłem żyć; postanowiłem wyjechać.

Gdy stanąłem przed panią z pożegnaniem, chciałaś mnie zatrzymać, lękałaś się o mnie, bo widziałaś co się dzieje w mej duszy. Ofiarowałaś mi przyjaźń, miłość siosty, nie przyjąłem tych darów, od nich przecie uciekałem. Byłem młody, pełen życia i siły, czułem pragnienie miłości pełnej, i świętej i ludzkiej, chciałem kochać nie tylko duszą, ale całem mem istnieniem;—nie podobna mi więc było przyjmować uczuć, w zamian za które dać mogłem tylko niepokój i rozdrażnienie. Puściłem sie w pogoń, nie za szczęściem, lecz za niepamięcią, za odurzeniem, za miłością także, lecz za

jaką miłością. Szukałem nie tych niebiańskich powabów umysłu i serca, nie myśli w rysach, duszy w oku, lecz owej zgubnej ponęty kształtów, pociągającej piekielną swą władzą, poruszającej głęboko, lecz i odpychającej po chwili. A nasycony tą ponętą, byłem że już bez żądzy? — o nie! Na mą hańbę i udręczenie, jawiła mi się wtedy postać ukochana, jasna i piękna, pociągająca więcej jeszcze bo górująca nademną w mym upadku.

O wierzaj mi pani, przecierpiałem wiele. Byłbym upadł zupełnie, znękany i przybity, gdyby nie promyk nadziei co rozświecił ciemnie mej duszy, nie myśl śmiała, co mną wstrząsła i przywiodła aż tutaj za panią. Oburzyło cię me wyznanie, odsunęłaś się odemnie, tak ci nakazywały obowiązki, prawa ludzkie. Czysta twa dusza nie pojmowała możności przełamania tych praw, cofnęłaś się po za nie. Ale czy sięgnąwszy w głąb serca, nie znalazłaś tam żadnego uczucia, czyliż prawdy nie czytałem i nie czytam teraz w twych oczach? Ta łza, odpowiadająca na me pytanie, jest objawem nierozdzielnego węzła, jaki nas łączy. I mamy stronić od siebie, zobopólnie szukać niepamięci? Ludwiko, czyliż ci serce nie mówi że to szaleństwo!

Umilkl Witold. Głos kobiecy stłumiony a drżący dał się słyszeć po chwili.

— Co mi mówi me serce? — alboż to wiem sama. Słyszę tylko głos wyrzutu, za to uczucie powstałe bezwiednie, które poznałam dopiero wtedy, gdy mi pan swoje wyjawiłeś. Lecz kiedy je dostrzegłam, ono już nie istniało. Istniał żal tylko, za obrazę jaką w mem sercu wyrządziłam mężowi i córce, żal głęboki i do dziś trwający. Jedną miałam nadzieję, że mnie pan zapomni, że wrażenie jakie na nim wywarłam mimowoli, nie zostawi śladów, że mój żal tylko pozostanie. Bóg mi odmówił i tej pociechy...

— Spojrz pani na mnie, przerwał Witold, młody jestem, lecz doznałem w życiu wszystkich smutków i rozczarowań. Myślałem już nieraz, że mi serce pęka z boleści, że życie moje wieczną kryje się żałobą; a jednak stałem niezłomny, po przebyciu próby prostując się silniejszy jeszcze. Nigdy mnie boleść nie obaliła, a w tej chwili, płaczę u nóg pani. Siły, odwagi, godności, nie odnajduję już w sobie, stałem się lękliwym, cierpienie mnie przestrasza. Utracić panią, to przestać istnieć dla mnie! Ale co czuję w tej chwili, i pani czuć to musisz, tylko zbyt dumna by uledz, stawiasz czoło potędze,

silniejszej od twej woli. Mówisz mi i mówisz sobie: ja nie kocham, i zmuszasz serce by milczało Ale to serce, dziś tłumione, obudzi się jutro. Sumienie, które ci dziś potakuje, potępi cię później, bo cokolwiekbądź chcesz uczynić, kochasz mnie zawsze, bo jesteś moją na wieki. I mówisz mi o rozdziale Ludwiko, ależ szalonymi bylibyśmy oboje. Szczęście nasze, jest w naszych rękach, miej litość nademną i nad sobą.

Zapanowała cisza, którą przerwał szybki szelest sukni. Kobieta się podniosła i rzekła łagodnie lecz stanowczo.

— Mówisz mi pan o szczęściu, a wiesz że gdzie ono? Wszystko czem żyłam, przywiązanie do męża, miłość dla dziecka, własny szacunek, spokój duszy nieskażonej, wszystko to mi wydarło twe wyznanie. Zostały wyrzuty, chmura wspomnień przeszłości w umyśle, nieszczerość względem tych, co mi najbliżsi i względem własnego serca, które samo już nie wie czego chce i co kocha. I pan mi mówisz o szczęściu, pan który wywołałeś to wszystko, przez którego wyrządziłam krzywdę w mem sercu istotom najwięcej ukochanym, którego winnam nie znać, zapomnieć nawet nazwisko. — Ja pana nienawidzę!

Znów nastąpiło milczenie, długie, ciążące.— Wreszcie dał się słyszeć głos Witolda, stłumiony i drżący.

— Nie lękaj się pani, możesz mnie od tej chwili wykreślić na zawsze z twego życia, nie usłyszysz już o mnie ani słowa. Dla zapewnienia ci spokoju nie mogę uczynić nic więcej — to co mogę, powiedz jak mam uskutecznić. Gdzie chcesz abym się udał, jaka odległość wystarczy by nas rozdzielić, czem uchronić cię zdołam od wspomnień nawet trapiących?

— Jedno tylko, odparł głos kobiecy, dziwnie tkliwy i rzewny, jedno mogłoby mi zapewnić nieco spokoju. Jeżeliś mi pan życzliwy, to wysłuchaj mej prośby, jakkolwiek dziwną mu się wyda. Myśl mnie boli najwięcej, że wtrąciłam w niepokój twe życie razem z mojem. Myśli tej mieć nie będę, gdy się dowiem że masz żonę.

— Pani mi możesz to mówić, zawołał gniewnie Witold.

— Przyrzeknij mi pan, ciągnęła dalej głosem cichym i łagodnym pani N., daj mi na to słowo święte i niezłomne, jak to, które się daje umierającemu, że wkrótce, skoro tylko będziesz mógł, postawisz między nami tę zaporę. Dopókąd jej niema,

zdaje mi się że nie jestem wolną. Myśl twoją czuję zawsze przy sobie, nie mam nigdy spokoju. Gdy się ożenisz, nie ośmielę się już myśleć o tobie, mniemać będę że zapomniałeś wszystko, może i sama zdołam zapomnieć. Pomyśl jak biedną jestem, mam że całe życie przecierpieć, gdy od ciebie tylko zależy zapewnienie mi spokoju. Pan to uczynisz— nieprawda?

Witold się zerwał i żywemi krokami zaczął chodzić po pokoju. Po chwili dopiero, zatrzymawszy się, odpowiedział:

— Posłuchaj mnie pani, te obawy, to przerażenie, to wszystko miłość. Pani sobie z tego sprawy nie zdajesz, ale tak jest. Teraz mam pewność, że mnie kochasz. Odpychając me uczucie, cierpisz tyle co i ja; czuję to i wiem także, że jakkolwiek wielką jest twa odwaga i ona może się ugiąć. Lecz kocham panią jaką jesteś, uwielbiam cię i nie chcę by do tego przyszło. Pragniesz znaleźć spokój w zapomnieniu, niech tak będzie. Przysięgam że się ożenię, przyrzekam że myślą nawet nie obrażę cię nigdy. Ale dając w tem przyrzeczeniu więcej niż życie, żądam jednego słowa od pani.

— Myśl że cię tracę, mniej mi jest ciężką, niż myśl że mnie nigdy nie kochałaś. Wiem że tak nie

jest, lecz wyrzekłaś słowo: nienawidzę. Cofnij je i nie lękaj się niczego: świętszą mi będziesz jeszcze niż dotąd. Pomyśl tylko, jakie życie mnie czeka. Istnieć będę jednem wspomnieniem, jednem słowem, o które cię błagam na klęczkach, bo ono stanowić ma razem me potępienie i me szczęście. Powiedz mi raz jedyny i ostatni że mnie kochasz.

Nastąpiło milczenie; po chwili doszedł mnie tylko odgłos kroków Witolda, wychodzącego z buduaru.

Z długiej zadumy w jaką wpadłem po wysłuchaniu tej rozmowy, wyrwał mnie dopiero głośny gwar zwolenników wista, opuszczających pole walki, w tryumfalnym pochodzie na kolacyą. Nie było między nimi pana Michała: powiedziano mi że musiał wyjść wcześniej, towarzysząc żonie, nieco słabej. W salonie, ani w innych pokojach, nie spostrzegłem Witolda.

W trzy miesiące potem, ziściło się gorące pragnienie prezesowej. Witold z Rózią stanęli przed ołtarzem. Gdy orszak weselny opuszczał kościół, spostrzegłem z boku za ławkami, klęczącą postać kobiety. Zdawała się modlić gorąco, jakby z dziękczynieniem. Wszystko ucichło, rozlegały się tylko kroki zakrystyana gaszącego światło, gdy wiedzio-

ny ciekawością przystąpiłem bliżej. Pod czarnym woalem, poznałem panią N. Urok dziwnie niebiański opromieniał jej twarz bladą. Była spokojną!

# Na Balu.

Szczęścia, oh! szczęścia! świat cały woła,
Wielcy i mali, mądrzy i prości,
Jaką ma postać? człowieka? anioła?
Kwiatka paproci? laurów mądrości?
Gdzie się ukrywa? jaka doń ścieżka?
Czy po przymusie? czy po swobodzie?
Ot! może szczęście prawdziwe mięszka
W pieśni, w marzeniu.... w zamkach na lodzie!....

(*Jan Chęciński*).

Bal u Hrabiostwa Z. rozwijał się w całej okazałości. Właśnie Lewandowski intonował jednego z najskoczniejszych swych mazurów, gdy czując się nieco zmęczonym opuściłem główną salę, przeszedłem boczną i jeszcze kilka pokoi i znalazłem się w małym saloniku, wybitym dywanem, wygodnie umeblowanym, oświeconym blaskiem palącego się na

kominku ognia i stojącej obok na stoliku małej lampki nocnej. Ta półciemność, nęcąca tajemniczą swą barwą, ta cisza, przerywana zaledwie od czasu do czasu głośniejszemi tonami mazura, pociągały mnie do siebie, wabiły swą sprzecznością ze świetną i huczną atmosferą balu.

— Błogosławiony gospodarz, który pamiętając o tańcach nie zapomniał o spoczynku i drzemce nawet, rzekłem w myśli, przysuwając fotel do kominka i sadowiąc się na nim z rozkoszą.

— Starość nie radość. Ciąży mi jakoś czwarty krzyżyk. Czy myślałem dawniej o odpoczynku, gdy się rozlegały na sali porywające dźwięki mazura, gdy ściskając w dłoni drobną rączkę mej tanecznicy, rozpoczynałem ochoczo figurę, czerpięc natchnienie i życie w uroczem dla mnie spojrzeniu, porywającym duszę uśmiechu. Niestety! to natchnienie i życie, starczyło tylko na mazura i kilka innych tańców, gasło po każdym balu, gdy dziś, po przeżyciu trzydziestu sześciu karnawałów a przetańczeniu ich co najmniej dwudziestu, jestem kawalerem. — Starym kawalerem....

— Cóż znowu, obmawiam się sam przed sobą. Przecież wyglądam zupełnie młodo, tańczę z ogniem,

a pod białym puklerzem kryjącym mą pierś w walkach salonu, bije młodzieńcze jeszcze serce. A jednak dla czego mnie już męczy zabawa? Dla czego tu przychodzę szukać odpoczynku? Eh! to tak sobie, z nudów.

Pocieszony tą myślą, położyłem głowę na miękkim grzbiecie fotelu, a oczami puściłem się w wędrówkę, po złoconym gzymsie pokoju. Zdawało mi się że pod postacią tych błyszczących kwiatów, pączków, gwiazd i kółok, widzę całe pasmo dni mej młodości. Szczęśliwych dni! kiedy żyłem swobodny, marząc o przyszłości, różowo patrząc na teraźniejszość a w przyszłość nigdy się nie zapuszczając; kiedy serce gorzało świętym i czystym ogniem pierwszej miłości, kiedy kochałem nie widząc nic przedemną, jak moją miłość, żyjąc nią tylko, o niej marząc dniem i śniąc nocą. A dziś...

Róże się rozwiały w uroczą ale lotną mgłę wspomnień. Faluje ona przedemną, przybierając kształty, do których dziś jeszcze wyciągam ręce, którebym chciał do siebie przygarnąć i pieścić się z niemi długo. Lecz te postacie, siłą wyobraźni tylko wytworzone z mroku przeszłości, są jak cienie. Uciekają przedemną gdy je gonię, — gonią za mną gdy się od nich oddalić usiłuję.

O nie znikaj mi najmilszy, najdroższy, jasny obrazie Anny. Patrz na mnie tem łagodnem, niebieskiem spojrzeniem, kołyszącem mą duszę, budzącem w niej szlachetne, czyste porywy. Bawiłem się, szalałem ale po chwilach szału lub zabawy, większą część życia byłem zimny, zniechęcony, obojętny. Czasem tylko, rzadko bardzo, topniał lód pierś mą zapełniający, a wtedy postępowałem z żywem natchnieniem szlachetnego serca, z młodzieńczym zapałem, porywającym się do wszystkiego, co wielkie, dobre i święte. W tych chwilach, równie rzadkich jak błogich dla mnie, widziałem cię zawsze przed sobą Anno. Pod twojem spojrzeniem, budziła się ta lepsza szlachejniejsza cząstka mnie samego, stawałem się takim, jakimbym może był zawsze — gdybym cię widział przy sobie przyjaciółką, towarzyszką... żoną.

Lecz nie, to nie złudzenie, to ona siedzi przedemną przy kominku, patrzy na mnie tem spojrzeniem, które pamiętam tak dobrze, patrzy łagodnie, rękę do mnie wyciąga, pytając:

— Henryku, czemu wracasz tak późno? Czekam i czekam pełna niepokoju, — co cię zatrzymało na balu?

— Pani... panna Anna...

— Co ci się stało, śnisz na jawie mój drogi. Nie chciałam iść na bal do Hrabiostwa Z. chociaż mnie zachęcałeś, bo Jaś byłby sam został w domu, nudziłaby się dziecina. Spędziłam wieczór z nim razem,—a gdy zasnął, siadłam przy kominku, czekając twego powrotu Wracasz nareszcie i taki rozmarzony. Czy zasnąłeś w powozie?

— Ach, więc to był sen tylko, Anno? To był sen, gdy oświadczając się o twą rękę, usłyszałem szorstką, odmowną odpowiedź twego ojca; to był sen, gdy ukryty za filarem, widziałem cię idącą do ołtarza, bladą, smętną, klękającą obok... drugiego, ślubującą mu wiarę na wieki; snem były te lata, kiedy zapełniający me serce, smutek i żal głęboki, zasłaniałem gorączkową wesołością, topiłem w szale zabaw; śniło mi się, że jestem starym kawalerem, zżółkłym kwiatem, w wiecznym cieniu wyrosłym? To wszystko był sen, smutny i dręczący? Ach powtórz Anno, tyś moją, to był sen tylko!

— Ależ tak Henryku, to był sen, ocknij się, powróć do życia. Uściskaj małżonkę, która czekała na ciebie tak długo, ucałuj śpiącego syna, ostrożnie tylko, żeby się nie obudził maleńki i pamiętaj nie miewać więcej snów tak strasznych. Śnij raczej o szczęściu. Czyż niem nie jest nasze życie, odkąd

postępujemy razem, ręka w rękę, z pogodnem czołem, myślący jedną myślą, pragnący jedną wolą, Henryku, my tak iść będziemy zawsze, nie prawda?

Patrzałem w zachwycie na tę postać, tchnącą miłością, spokojem i szczęściem; wsłuchiwałem się z rozkoszą w dźwięki tego głosu, pełnego łagodności i niebiańskiej słodyczy. Wszystkie moje marzenia, wszystkie sny lat upłynionych, widziałem przed sobą w jednym uroczym obrazie, w wymarzonym, wypieszczonym wyobraźnią, ideale domowego ogniska.

Nie byłem już sam, nie więdłem wśród wiecznych cieni, wśród zabójczego chłodu obcych ludzi. Ze swego tronu piękności i cnoty, zeszedł do mych wrot Anioł, dzielić me troski, lać do serca nektar miłości, ze złotej czary swego uśmiechu. Anna, ukochana i kochająca, siedziała przedemną, mówiła o naszem życiu, naszem szczęściu. I to życie musiało być szczęściem, bo nie zostawiło żadnych śladów na jej uroczej twarzy, nie zachmurzyło pogodnego jej czoła. Jaką ją znałem w domu jej rodziców, taką widziałem teraz przed sobą, piękniejszą jeszcze. Cudny wieniec jasnych włosów, zdobił zawsze jej skronie, w bogatych splotach spadając na szyję. Oczy nie straciły swego blasku,

kształty nabrały więcej pełności, swobodniejszemi jeszcze zdawały się, zawsze wdzięczne, jej ruchy. Dziewica, ideał mych marzeń, stała się małżonką, życia mego koroną i ozdobą. Drobną rączką trzymała na kolanach, przerwaną mem wejściem, robótkę. Był to kaftaniczek, haftowany widocznie dla naszego syna. Obok stała kołyska, w której spało jasnowłose dziecię. Pochyliłem się, całując wyciągniętą przez sen rączkę małego aniołka. Zdawał się uśmiechać do mnie, odgadywać czułość ojcowskiego spojrzenia. Przyszłość jasna i pogodna otwierała się przedemną. Miałem cel życia, stałem się potrzebnym na tym świecie.

— Nie odpowiadasz mi Henryku? pytała cicho moja żona, głosem pełnym wyrzutu. W jej oczach, zwróconych na mnie, w tych oczach, których błękit był mi całem niebem przed laty, malował się smutek, niepokój i oczekiwanie.

— Anno! życie moje! zawołałem klękając przed nią, olśniony tem szczęściem, jakie mnie otaczało, jakie uśmiechało się do mnie w około.

Lecz gdy klęknąwszy, podniosłem głowę... wszystko znikło. Klęczałem przed kominkiem, zsunąwszy się podczas snu, z fotelu na dywan. W uszach dźwięczały mi jeszcze ostatnie tony mazura, prze-

demną dogorywał ogień na kominku, a mała lampka rzucała od czasu do czasu gorączkowe odbłyski światła.

— Czemuż nie można żyć snem, a śnić tylko życiem,—myślałem podnosząc się i poprawiając nieład ubrania.

— *Ah mon cher, je te cherche depuis une heure*, kontradans ma się zacząć, tańczysz ze mną *vis à vis* i chowasz się tutaj, nie dając znaku życia.

Mówił to, wchodzący właśnie do pokoju, mój przyjaciel Ludwik, towarzysz z lat dziecinnych, rowiennik wiekiem, ale ożeniony już oddawna.

— Zdrzemnąłem się mój drogi, i marzyłem we śnie tak błogo...

— Cóż ci się śniło?

— Widziałem żonę, kochającą, piękną i dobrą. Widziałem śpiącego w kołysce syna, uśmiechającego się do mnie przez sen. Wkoło mnie wszystko tchnęło szczęściem, sam, czułem się tak szczęśliwy!

— *Crois moi, mon cher*, we śnie wszystko przybiera różowe barwy.

— Jakto Ludwiku, więc ty, któryś mi zawsze kładł w głowę ożenienie, malując w uroczych kolorach rozkosze małżeńskiego pożycia, — więc ty nie jesteś szczęśliwy?

— *Oh! mais tout de suite tu t'exaltes.* Życie, to nie sen. Choćby samemi różami zasłaną była nasza droga, i przy różach jeszcze są kolce. Ale co o tem mówić, chodźmy, bo mazur już skończony.

Wchodziliśmy na główną salę, gdy orkiestra zaczynała z ogniem kadryla z Orfeusza. Melodya Offenbacha rozwiała resztki uroczej mgły mego sennego widzenia.

# Dwaj Przyjaciele.

„Ha! kwiat paproci! to urojenie!"
Wołają z śmiechem uczonych krocie.
Przecież lud wierny w kwiatu istnienie
Wierzy i szuka w serca prostocie.
Jak lud nasz w paproć, tak młodość płocha
W kobiecą miłość wierzy i kocha.
(*Karol Baliński*).

W skromnym kawalerskim pokoju, który jak wnosić było można z umeblowania, służył jednocześnie: za sypialnię, bibliotekę, gabinet, i salon; przy stole zawalonym stosami papierów i oświeconym blaskiem lampy, rozrzucającej cień swym daszkiem na sufit i ściany; głęboko wsunięty w fotel, siedział młody człowiek. Głowę pochylił na piersi,

ręce mu opadły na poręcze fotelu, oczy wlepił uporczywie w podstawę lampy, przedstawiającą Minerwę Justyniana. Ale jasność i spokój, jakiemi tchnęła postać bogini, nie malowały się w spojrzeniu i wyrazie twarzy siedzącego. Myśl go trapiła jakaś ciężka, przygnębiała, wprawiając w tę bezwładną nieruchomość, w jakiej pozostawał. Odgłos zegaru, bijącego godzinę drugą na pobliskiej wieży, nie wyrwał go z zadumy, późna pora, nie zachęcała do spoczynku ciała, które nie czuło. Bo rozumnem zrządzeniem woli Bożej, gdy na duszę człowieka spadają ciężkie ciosy, gdy się gnie pod ciężarem nieszczęść,—ciało wtedy drętwieje, traci czucie; a choć ta chwilowa obmartwiałość, późniejsze powoduje cierpienia, w danej chwili jednak zbawia życie, materyalną jego podstawę od zgubnych ochraniając wstrząśnień.

Upłynęło chwil kilka po dwóch głuchych uderzeniach zegaru. Mieszkanie, ktorego okna wychodziły na spokojne podwórze, zalegała wciąż cisza ponura i nużąca, gdy nagle zgłębi bramy domu, doleciał odgłos dzwonka. Zapóźniony lokator dzwonił długo, nim zbudzić zdołał miejscowego cerbera, lecz nie dzwonił niecierpliwie, nie targał za dzwonek, tylko, jakby się godząc na przeczekanie pewnego czasu pod bramą, miarowo, ale bez przerwy,

wprawiał w ruch dzwonkowe druty. To dzwonienie, cierpliwe, nieustanne, odniosło wreszcie skutek. Brama skrzypła i trzasła, na podwórzu odezwały się kroki, stłumione śniegiem, potem dało się słyszeć na schodach systematyczne, choć szybkie, stąpanie. Zgrzytnął zamek u drzwi przedpokoju, otworzony kluczem, który wchodzący miał widocznie przy sobie, drzwi się odemknęły i zwarły, a potem cicho odchyliły się drzwi pokoju. Wszedł człowiek młody, wysoki, z twarzą której powagę urozmaicały odbłyski ironii, spojrzał na siedzącego przy stole łagodnie, a jednak z lekkim jakby szydzącym uśmiechem, zrzucił z siebie futro i siadł obok, nie witając. Strój balowy, bukiet u fraka, wskazywały iż wracał z wesela. Wzrok czuwającego, z Minerwy Justyniana przeszedł powoli na gościa, z twarzy tego ostatniego na bukiet i ten widok dopiero poruszył odrętwiałą postać. Usta się rozwarły, a głos stłumiony i łzawy, zapytał głucho:

— I cóż?

Władysław i Zygmunt, poznali się przed kilkoma laty w domu państwa X. Zygmunt bywał tam już od dawna, Władysława wprowadzono na jeden z wieczorów wydawanych w karnawale. Nie znając towarzystwa, błąkał się on po salonie, gdy go-

spodarz domu zapoznał go z Zygmuntem. Młodzi ludzie od razu jakoś przylgnęli do siebie, zgadzając się mimo różnicy charakterów. Władysław, z powołania poeta, literat, pełen młodzieńczego zapału, wiary w przyszłość, w ludzkość, we wszystko co wzniosłe i piękne, wywoływał często ironiczny uśmiech na twarzy Zygmunta, inżyniera z zawodu, chłodnego, systematycznego, wątpiącego, lub przynajmniej udającego że wątpi o wszystkiem. Ale mimo uśmiechu, Zygmunt słuchał chętnie słów Władysława, często na potoki lawy, płynące z duszy poety, puszczał zimny strumień ironii, wywoływał oburzenie, spierał się, w końcu godził, nie tylko nie zrywając przyjaznych stosunków z Władysławem, lecz owszem, ustalając je coraz bardziej. Z początku, spotykali się tylko w domu Państwa X., gdzie obaj zachodzili często, potem zbliżyli się więcej jeszcze, w końcu zamieszkali razem. Widywano ich odtąd nierozłącznych, po salonach nazywano braćmi syamskimi, żartowano z tego powodu, żartowano zwłaszcza, gdy obaj siadali w salonie przy córce państwa X., co się zresztą zdarzało dość często. Ale znów przez to nie ściągali szczególnej uwagi, bo panna X. gromadziła w koło siebie, liczny zastęp wielbicieli. A słusznie.

Julia X., jedynaczka, wypieszczona nie tylko przez rodziców, ale przez całe falangi ciotek i wujów, dochodziła wtedy do pełni panieńskiego rozkwitu. Dwudziesty roczek wybił już na zegarze tego szczęśliwego życia. Wujowie i ciotki, czekali z niecierpliwością, kiedy się wreszcie wyszumi ta główka, pełna dowcipu i wesołości, kiedy poważniej spojrzy w przyszłość i pomyśli o wyborze dozgonnego towarzysza. A protegowanych przez siebie pretendentów, mieli pewno cały tuzin w zapasie. Rodzice,—ci nie niecierpliwili się bynajmniej, ciesząc się szczęściem posiadania przy sobie wypieszczonej perełki. Bo i perełka była to istna. Mała, jak kotek zwinna, żywa, wesoła, przyciągająca wszystkich, którzy ją znali lub dojrzeli, Julcia gromadziła w koło siebie na każdym balu lub zebraniu więcej wielbicieli, niż najokazalsza piękność, a gromadziła powabem swej rozmowy, inteligentnym dowcipem i wesołością. Otaczał ją też zawsze rój młodzieży. Z jednakiem zajęciem rozmawiała ze wszystkimi, każdemu się starała podobać i podobała się też wszystkim, ale pewno najwięcej Władysławowi. On i Zygmunt przepędzali przy niej długie godziny. Julcia słuchała z ciekawością poetycznych opowiadań Władysława, czasem i jej oczy zachodziły rzewną mgłą zadumy, to znów się śmiała gdy Zygmunt nicował złote tka-

niny marzeń, pokrywając je strzępkami smieszności. I tak im czas płynął mile, wesoło, a Władysławowi najmilej i najweselej. Lecz marzycielskie jego usposobienie, porwać się dało łatwo prądowi. Ani się spostrzegł jak pokochał Julią i pokochał z całym zapałem młodzieńczego serca, z całym zasobem rozkwitających uczuć. A gdy się spostrzegł, już było za późno.

W sercach ludzkich, nie wszędzie na jednakim gruncie, wyrasta kwiat miłości. To jak bluszcz pnie się czule po skalistych urwiskach męzkiego ducha; łatwo go wtedy oderwać, skała pozostaje w strasznej nagości, ale pozostaje nietkniętą. To znów wpija się głęboko w użyźniony zdrojem uczuć grunt marzycielski, a wyrwanie go wtedy, tworzy próżnię ciemną i krwawą. Taki też był obraz serca Władysława, gdy rzucał Zygmuntowi to ponure zapytanie:

— I cóż?

Pokochawszy Julią całem swem istnieniem, całą duszą, zamarzył Władysław o posiadaniu jej ręki. Mniemał że mu nie jest obojętną. Z żywem współczuciem, uchem serca, słuchała często słów jego, witała radosnym uśmiechem, żegnała wdzięcznym żalem rozpieszczonego dziecięcia. Zwierzył się z tem

Zygmuntowi, ale ten się rozśmiał i popatrzał nań uważnie. O poeto! zawołał—i ty wierzysz w kobiety? A Władysław wierzył i wierzyć nie przestawał. Sądził że już nadeszła chwila rozpoczęcia kroków więcej stanowczych, i pojechał uwiadomić o tem swych rodziców. Na wsi zatrzymano go dłużej, niż się spodziewał, a skoro po paru miesiącach przybył do Warszawy i wybierał się z wizytą do rodziców Julii, siedzący u niego Zygmunt, tym razem nie z ironią lub uśmiechem, lecz oględnie i jakby trwożliwie, wyjawił mu po długiem obchodzeniu kwestyi, że Julia przed paroma dniami zaręczoną została panu Z.

— Jak to? tak nagle! przecie Z. prawie się do niej nie zbliżał.

— Myślisz że na to wiele potrzeba, odparł Zygmunt *un coup de caprice* i już wszystko skończone. A zresztą, jeżeli chcesz lepszego objaśnienia, dam ci jedno, według mnie scisłe. Myślą przewodnią, ideałem Julii, jest podobać się wszystkim. Z. był niewzruszony, nie zwracał na nią uwagi. Nie mając innego sposobu zainteresowania go swoją osobą, idzie za niego.

Szyderstwa Zygmunta, oburzały Władysława. On nie mógł się przekonać, nie uwierzył, póki nie

ujrzał Julii. Wieczorem poszli tam z Zygmuntem. Julia, wesoła jak zawsze, zapraszała ich na wesele, gniewała się na Władysława że ponury i nie dzieli jej radości. Układała cały program swego życia po ślubie, w czem jej dopomagał Zygmunt, to śmiejąc się, to szydząc. Julia, śmiała się także, to znów oburzała na Zygmunta, lecz to tylko chwilowo. Coś ich jakby pociągało ku sobie. Po za ironią Zygmunta, przebijała się szczera sympatya. Julia ją czuła i była wdzięczną. A Władysław?

Popatrzał na wszystko okiem obumarłem jakby, wysunął się cicho zostawiając Zygmunta, wrócił do siebie i już się więcej nie pokazał w domu państwa X. Julia pytała o niego, Zygmunt mówił, że słaby i w istocie Władysław pobladł, pochudł, zamknął się w domu i na ponurem rozmyślaniu, przepędzał dnie całe. Próżno go Zygmunt usiłował wyrwać z odrętwienia, probując różnych leków na tę chorobę duszy. Władysław bolał i milczał. Tak przeszły dwa miesiące, zbliżył się ślub Julii. Gdy go Zygmunt zawiadomił o dniu wesela, Władysław rzekł:—to pogrzeb mej młodości.—To chwila jej wykłucia z jajka marzeń dziecinnych,—odparł Zygmunt i pośpieszył na ślub. Z zimnym uśmiechem, złożył powinszowania państwu młodym, tańczył z Julią rozmawiając wesoło, pił jej zdrowie przy kolacyi

i dopiero gdy się rozchodzić zaczęto, wrócił do domu. Tu zastał Władysława czuwającego. Ten już nie mógł więcej tłumić swej boleści, zabrakło mu siły, żal rozdzierał piersi, rzucił tylko głuche zapytanie:

— I cóż?

i łzy popłynęły z jego oczu. Zygmunt doń wyciągnął dłoń bratnią.

— Uspokój się Władysławie,— rzekł po chwili. Ona łez twoich nie warta. Kobieta kokietka, to twór śliczny, wydmuchany z łudzącej swą świetnością pianki tegoczesnej cywilizacyi. Pozory, — ma je wszystkie: i serca, i myśli, i czucia; a pod pozorami? żeby się jeszcze kryło co strasznego.... lecz gorzej, bo tam się nic nie kryje,—nic zgoła.

— A ja ją tak kochałem, zawołał Władysław; ten ideał powiewny, tę mgłę uczuć przejrzystą, którą nosiłem w sercu, wcieliłem w jej kształty. Ona mi była i piękną i świętą—i kobietą i niebem. A myśl moją, płód cichych i anielskich marzeń młodości, związałem tak silnie z jej osobą, zespoliłem tak nierozłącznie, że gdy mi ona teraz uchodzi, to zda się duszę całą zabiera....

I zakrył twarz rękami i zapłakał. Zygmunt łagodnie koił ból przyjaciela, uspokajał, pocieszał. A przyjaźń może wiele! Władysław spoczął, ukołysany choć na chwilę, a Zygmunt raz jeszcze

objąwszy go okiem współczucia, sam spokojny i chłodny, przeszedł do swego pokoju. Lecz gdy tam usiadł samotny, gdy już nie czuł na sobie żadnego spojrzenia, był sam z sobą, wejrzał w głąb ducha.... zachmurzyło mu się czoło, głowa pochyliła na piersi, a z oka urwała łza. Drżącą od wzruszenia ręką wyjął z kieszeni mały pugilaresik aksamitny, otworzył go i zatrzymał roztwarty przed oczyma:

Był tam portret Julii!...

# SZAFA GDAŃSKA.

Sali prosta jest i wierna —
Ale w najprościejszej leży
Taka obłuda misterna,
Tyle gołębiej odzieży,
Taki kalkuł na dnie duszy,
Taki instynkt oszukaństwa,
Taka chciwość blasku, państwa,
Taka głęboka nauka
Zadawania ci katuszy:
Że wierność ich — jest to sztuka,
W którą czart oczy pochował.

*(Juliusz Słowacki).*

Siadłem na sofie, wygodnej, głębokiej, usposabiającej raczej do marzenia niż do sofizmu i mimowoli wpatrywać się zacząłem w stojącą naprzeciw-

ko, starą gdańską szafę. Myśl mi przyszła, że ta kombinacya kilku misternie wyrzeźbionych desek, przetrwała już wieki, że wyrobiona przez nieznanego artystę XVII-go wieku, była niemym świadkiem wielu zdarzeń. A tą drogą, schwyciwszy mnie w upajające swe ramiona, pomknęła na rączym rumaku bogini nowellistów fantazya i.... ujrzałem się wkrótce w staroświeckiej komnacie, prawie ciemnej, bo oświeconej zaledwie migocącym płomykiem lampki przed obrazem. W rogu, stała taż sama szafa, jak i teraz ciemna, poważna, a koło szafy, wpół leżąca, wpół siedząca, spoczywała na kanapie, pogrążona we śnie, kobieta. Była młoda, — była cudna! Ciemny włos, bogatemi sploty, okalał marmurowej białości czoło. Na ustach igrał uśmiech, słodki, anielski. O, ta twarz była mi znaną;—mniemałem, że patrzę na urywek obrazu podpisanego *Greuze*, na idealną twarz kobiety, — uosobienie anioła na ziemi.

Usłyszałem lekki szelest drzwi — jakiś mężczyzna wchodził do pokoju. Młody, wysoki, przybrany w strój ciemny poważnego kroju, pełen szlachetności w postawie, pełen myśli w obliczu, stanął przed kanapą i rzucił na śpiącą kobietę spojrzenie. Poznałem go w tem spojrzeniu, bo spojrzenie mówiło, a ja rozumiałem jego mowę. Oto jak brzmiała:

— „Wątek światła, dobra i piękna, jaki miałem w duszy, ciepłem serca macierzyńskiego pobudzony do wzrostu, wyhodowany starannie, wpływem kierowników lat młodocianych, bujnie rozkwitły pod ożywczem tchnieniem młodości, wcieliłem w ludzkie kształty ideału, uosobiłem w kobiecie. Spotkałem ją i padłem przed nią na kolana.—Stała się moją i jest moją.

— Ona więcej niż moją, — ona mną samym. W niej tylko żyję, po za nią niema świata dla mnie. Tyle myślę, co z nią lub o niej; serce me bije, czując tylko bicie jej serca. To nie miłość — to życie! Gdyby mi jej nie stało i mnieby już nie było.

— Śpij połowo mej istności, połowo lepsza, bliższa nieba, śpij duszo moja, duszy mej cząstko anielska. Spoczywaj cicha i czysta, póki się nie zbudzisz jutro w mych objęciach. Teraz pracować będę, z twym obrazem w myśli, czerpiąc w nim pobudkę i zachętę; przy tobie znajdę jutro rozkosz i odpoczynek“.—

To wyraził spojrzeniem i nie chcąc budzić śpiącej, w cichości wyszedł z pokoju. Gdy umikł odgłos drzwi wdali,... kobieta szybko zerwała się z kanapy.

Więc ona nie spała! Więc tylko udawała śpiącą! Teraz pobiegnie za mężem, by mu szyję otoczyć białemi ramiony i do ust powieść czoło urocze, by swawolę, nagrodzić pieszczotą.

Lecz nie.... wstaje, ostrożnie ku drzwiom się zbliża, słucha, a upewniona ciszą, bieży do stolika, chwyta za pióro i pisze.

Widziałem wszystko, dojrzałem i co pisała. Był to krótki bilecik,—te słowa tylko:

„Nudziarz mój zamknął się już u siebie, — jestem wolna!

Twoja na wieki“

Zadrżałem. Tyle obłudy, fałszu tyle. w postaci uroczej, anielskiej, przejęło mnie zgrozą. Więc nie było, nie ma na tej ziemi istot, któreby ze swych tronów piękności i cnoty schodziły do wrót naszych dzielić troski, lać do serca nektar słodyczy, krzepić myśli do wyższych cnót;—istot godnych by im poświęcić wszystko, bo one wszystko poświęcą, z któremi by dusza w duszy, oko w oku, dłoń w dłoni, płynąć było można bezpiecznie, po cichej fali szczęścia, wśród powodzi ludzkich namiętności,— więc nie było i nie ma na tym świecie kobiety! zawołałem głośno, budząc się z zadumy.

— A o mnie to już zapomniałeś, niedobry,—zabrzmiał uroczym dźwiękiem, srebrny głos niewieści i jasna główka przytuliła się smutnie do mej piersi....

Musiałem się uniewinniać, tłómaczyć, składając winę na nieznośną szafę gdańską, czerniejącą ponuro w głębi pokoju. Uzykałem przebaczenie dla siebie,—szafa skazaną została na deportacyą do garderoby mej żony.

# NARZECZONA.

Młody chłopaku! porzuć swawole!
Kwietniowy motyl wyleciał w pole,
Radosna chwila!
Nie psuj radości twoją pustotą,
Niech mu na skrzydłach migoce złoto,
Nie goń motyla.
(*Władysław Syrokomla*).

— Zosiu, jedziesz dziś na bal z Ciotką? pytała pani Sędzina wchodząc do pokoju swej córki.

— Mam chętkę, ale....

— Ale co?..

— Naprzód przyrzekłam Władziowi, że przed jego powrotem nie rozpocznę karnawału....

— No, przecież ci narzeczony nie będzie miał za złe, że się trochę pobawisz. Zresztą powinien był już przyjechać.

— Pisał, kochana Mamo, że robi wszelkie starania, aby jak najprędzej tu przybyć. Ale cóż, te nieznośne interesa....

— Czyż ci one przeszkadzają iść na bal?

— Nie, zupełnie. Ale nie wiem także czy mi dziś suknię przyślą z magazynu. Nie upominałam się o nią wczoraj.

— Przyślą z pewnością, byłam dziś u Herzego. Zresztą namyśl się, każę prosić Ciocię, aby jadąc na bal, wstąpiła do nas w każdym razie. Ty będziesz na czas. Niczego ci nie brak, tylko sukni.

— Brak mi także Władzia, mateczko!

— Oj, figlarko!

Tu pani sędzina złożyła na czole córki macierzyński pocałunek i poważnym krokiem wyszła z pokoju.

Zosia była śliczną siedemnastoletnią dzieweczką, jakby stworzoną do wesołości i szczęścia. Nie dawno weszła w świat, po drodze zasłanej różami, a już

otwierał się przed nią kraj inny, została narzeczoną Władysława, ślub był naznaczony za trzy miesiące. Przywiązanie, stanowisko, majątek, wszystkie warunki szczęścia czekały na nią w tym związku, upragnionym przez rodziców, upragnionym i przez nią. Kochała Władysława, mimo różnicy usposobień, a może właśnie i dla tej różnicy. O ile ona była żywą, wesołą, figlarną, o tyle on był poważny, smętny i marzący. Na pięknej twarzy młodego człowieka, wyczytać było można zawsze pewną resztkę smutku, wyraz zagadkowy dla tych co go znali. Władysław był młody, bogaty, wyrobił sobie wcześnie świetne stanowisko w świecie, pokochał Zofią, pozyskał jej wzajemność, — czegóż się więc miał smucić! Rzeczywiście, przyczyny nie było. Ale są ludzie, których dusze zszedłszy na ziemię owinięte krepą, nie łatwo uchylają swą żałobną zasłonę, a że jej zgubić na tym padole płaczu nie podobna, w nią przybrane błąkają się, i w końcu wracają tam.... zkąd przyszły.

Imy także wróćmy do pokoju, w którym sędzina zostawiła swą córkę, rozmyślającą ze wszelką możebną w siedemnastu latach powagą, nad żywotną kwestyą pójścia na bal. Rozmyślanie to tak dalece pochłonęło piękną główkę Zosi, że ani zauważyła,

jak przybyły do pokoju służący, złożył przed nią na stoliku list z poczty, a obok na krześle, owiniętą starannie nową suknię balową. Zrobił to wszystko w cichości, widocznie nie chcąc przeszkadzać głębokim myślom panienki, a następnie opuścił pokój na palcach.

Ale Zosia nie miała zwyczaju rozmyślać długo. Gdy się na co nie mogła zdecydować, przestawała o tem myśleć, zdając się na ślepy traf losu, lub kaprysu i szukając rozrywki w czem innem. I teraz zerwała się szybko z kanapy, chcąc pobiedz po książkę leżącą na oknie, gdy rzuciwszy okiem na krzesło, spostrzegła przyniesioną co dopiero suknię. Spostrzegłszy, czyż mogła zająć się czem innem jak oglądaniem i przymierzaniem nowego stroju? Doprawdy że nie!

Więc szybko rozwinęła pakiet, położyła suknię na stoliku, przykrywszy nią list, którego nie widziała, i rozpoczęła krytyczny przegląd szczegółów tego wdzięcznego ubrania. Z przeglądu wyciągnęła widocznie pocieszające wnioski, bo świeża i wesoła jej twarzyczka, pokryła się jeszcze dodatkowym rumieńcem zadowolenia. Zosia zawsze piękna, prześliczną była w tej chwili. Może narzeczony nie widział jej taką nigdy. Często lepiej być suknią jak narzeczonym!

Strój, który się podoba, ochota bierze przymierzyć. Zosi brakło tylko sukni do uzupełnienia balowego przyboru, postanowiła ją przywdziać. Ale jakkolwiek lekko zdejmowała suknię ze stołu, zawsze poruszyła i zrzuciła na ziemię list pod nią leżący. Upadł tuż pod zwierciadłem, a tymczasem Zosia, zwrócona ku światłu, zajęła się układaniem i zapinaniem nowego stroju, na swej zgrabnej figurce. Wkrótce wszystko było gotowe, pozostawało tylko zobaczyć jak to wygląda z boków, z tyłu, *en trois quarts* i tam dalej. Bohaterka nasza zwróciła się do lustra i wtedy dopiero spostrzegła list leżący na ziemi.

— List od Władzia!—zawołała radośnie, schylając się po pismo narzeczonego, a w szczerem uniesieniu zapominając o sukni, lustrze i balu. Tym razem narzeczony odniósł zwycięztwo nad suknią. Zosia żywo podniosła list, rozerwała kopertę i czytać zaczęła z zajęciem. Oto co pisał Władysław:

*Kraków 7 Stycznia.*

„Kończy się wreszcie moje wygnanie, Zofio najnajdroższa. Wszystkie interesa załatwiłem pomyślnie, jutro rano ztąd wyjeżdżam, a jednocześnie ten list wyprawię. Dojdzie Cię on na parę godzin przedemną, muszę się bowiem zatrzymać na granicy

gdzie mnie mój brat ma czekać. Pismu memu zazdroszczę i tej pary godzin.

Tymczasem mam przed sobą cały wieczór spokoju i samotności. Ale czyż kiedy byłem sam, od czasu jak Cię kocham. Nie Zofio, Tyś zawsze ze mną. Trudząc się całemi dniami nad załatwianiem tych spraw nieznośnych, które opóźniały nasze szczęście, znajdowałem osłodę w myśli o Tobie. Gdym zasypiał zmęczony,—to z nadzieją spotkania Cię we śnie, gdy się budziłem nazajutrz do nowych trudów, usta me stały Ci same dzień dobry, jakby przywykły nie wymawiać przed tem innego słowa. Od chwili oświadczenia jestem Twoim, duszą i ciałem, myślą i czynem. Tyś mi życiem, światem, niebem i bóstwem!

Nie widziałem Cię Zofio całe dwa miesiące, — dwa wieki dla mnie. W ciągu pierwszego, żyłem wspomnieniem dni spędzonych z Tobą przed mym wyjazdem z Warszawy, drugi zapełniła nadzieja tego szczęścia, jakie mnie czeka za powrotem. Ujrzę Cię jutro.... ach na tę myśl serce chce mi wyskoczyć z piersi i pobiedz zaraz ku tobie, na skrzydłach szybszych od błyskawicy,—na skrzydłach miłości!

Przyrzekłaś mi Zofio, że nie rozpoczniesz karnawału przed mym powrotem. Przyrzeczenia nie przyjąłem, — pisałaś jednak, że je dotrzymujesz. Zastanę Cię więc w domu jutro wieczorem. Widzę Cię już wybiegającą na spotkanie, witającą tym uśmiechem, co porywa serce, — widzę Cię piękną, rozpromienioną, szczęśliwą. To marzenie zapełni mi wieczór dzisiejszy, nocą śnić o niem będę, a jutro zmieni w rzeczywistość, ów obraz uroczy, siłą wspomnień malujący się w tej chwili tak żywo w mym umyśle. I będę mógł Ci powiedzieć Zosiu: prześliczną jesteś w snach moich, stokroć piękniejszą na jawie!...“

Tutaj Zosia przerwała czytanie listu i zwolna przeniosła wzrok z pisma narzeczonego na zwierciadło. Bezwiednie opuściła się trzymająca list jej rączka, twarzyczka przybrała inny wyraz, może jeszcze więcej ożywiony, niż podczas czytania; druga ręka zaczęła żywo poprawiać szczegóły ubioru, podciągać, gładzić, układać fałdy i koronki. Zosia kolejno prostowała się, wykręcała, obracała w różne strony, mając wzrok ciągle w lustro wlepiony, a gdy już uporządkowany został cały przybór balowy, spojrzała jeszcze raz w zwierciadło, uśmiechając się z zadowolenia. I rzeczywiście,—niezadowoloną być

nie mogła. Suknia była zrobiona wybornie, leżała jak ulana, uwydatniając wszystkie wdzięki zgrabnej kibici, osłaniając je *juste au point*, nie kryjąc zbytecznie, broń Boże! Przy niebieskiej barwie materyi, odbijały się świetnie jasne włosy dziewczęcia. Oczy, rozpromienione szczęściem, świeciły jak dwa najczystszej wody brylanty. Władysław miał słuszność. Obrazy wymarzone jakie opisywał, nie mogły dorównać temu, jaki się roztaczał przed Zosią w zwierciadle. Nie dziw więc, że wolała patrzeć na oryginał, niż czytać bezbarwny opis kopii, wytworzonej wprawdzie w bogatej wyobraźni zakochanego, lecz niższej nierównie od arcydzieła największego mistrza—Stworzyciela.

— *Ah mon enfemt que tu es belle!* zawołała wchodząca właśnie do pokoju sędzina. I jak na czas, właśnie ciocia zajechała.

— Ciocia? ah prawda.... bal,—wyrzekła Zosia w zamyśleniu. Czy w czarownej jej główce, rzeczywiście miał miejsce w tej chwili jaki proces myśli, czy też w pozornej tylko pogrążona zadumie, w istocie nie myślała o niczem, jak się to często zdarza młodym osóbkom roztrzepanym, jak to tam było—niewiemy. Dość na tem, że Zosia stojąc w środku pokoju, z minką zamyśloną, spoglądała

kolejno, to na zwierciadło, to na list narzeczonego. Zwierciadło było szczęśliwsze, dostało mu się ostatnie z szeregu spojrzeń. Zosia zarzuciła nagle na ramiona *sortie de bal* i oddając list matce rzekła z pośpiechem:

— *Maman, tache d'arranger cela!*

Poczem pocałowała w twarz sędzinę i szybko wybiegła z pokoju.

Sędziwa, z powagą włożywszy na nas binokle, przeczytała list, wzruszyła ramionami, pomyślała chwilę, a z uśmiechem zadowolenia i pewności opuszczając pokój Zosi, powtarzała zwolna:

— *Quel enfant*, —wykapany mój portret!

# Listek Geranium.

. . . . . . . . . .

Ach! róży, ach róży,
Wśród ziemi rozłogów,
W tej życia podróży,
Tak wiele jest głogów,
Ach róży, ach! róży.

. . . . . . . . . .

Ach! zerwij ją świeżą,
I miłą i ładną,
Nim gromy uderzą,
I listki opadną,
Ach! zerwij ją świeżą!

. . . . . . . . . .

(*Edmund Wasilewski*).

Wieczorem w poście, w dużym pokoju, zastawionym pełnemi książek szafami, stalugami, na których rozpięte były rysunki, gipsowymi modelami posągów, tak że wszedłszy nie było się pewnym czy

to pracownia malarza, czy gabinet uczonego, w około stołu na którym stała lampa i rozrzucone leżały książki, dzienniki i albumy, siedzieli wygodnie na fotelach czterej mężczyzni, paląc cygara i swobodną prowadząc pogawędkę. Jeden z nich, gospodarz domu, poważniejszy wiekiem, z twarzą z której nie znikał wyraz łagodnego smutku, jakiejś tęsknoty czy żalu, mówił mało, słuchajac żywych rozpraw młodszych swych towarzyszy, uśmiechając się niekiedy, to znów w posępną wpadając zadumę. Trzej jego goście, młodzi, ale już widocznie otrzaskani z życiem, opowiadali kolejno, różne szczegóły o swych dawnych kolegach, śmiejąc się z jednych, żałując drugich, to ganiąc, to wielbiąc, to wreszcie spierając się o fakta lub zdania.

A spory były częste, bo młodzi ludzie pod względem przekonań i sposobu zapatrywania się na traktowane kwestye, różnili się wielce. Jeden, najżywszy w rozprawach, patrzał trzeźwo na rzeczywistość, nie łudząc się marzeniami, ale też często zdradzając pewną suchość charakteru i lekceważenie wszystkiego, co się zwie uczuciem, tkliwością, jednem słowem sercem. Był to młody patron trybunału, który w kilku latach, przez swą wymowę, logikę rozumowań i sumienne opracowywanie spraw wprowadzanych, zapewnić sobie zdołał wzię-

tość za kratkami. Rozprawiali z nim dwaj jego szkolni koledzy, a przedmiotu sporu dostarczył właśnie w tej chwili jeden z tych ostatnich, młody urzędnik sądowy. Zakochał się on w ubogiej panience, sam szczupłe posiadał fundusze, ale ufny w przyszłość, opartą na wspólnej pracy, miłości i poświęceniu, postanowił się ożenić. Postanowienie to pochwalał jego przyjaciel, sentymentalista z przekonania, trochę poeta, trochę literat i występował gorliwie w jego obronie przeciwko pozytywnemu patronowi, który całą siłą argumentów, napadał na zakochanego, dowodząc mu, że się łudzi przyszłem swem szczęściem i nieoblicza z siłami, niezbędnemi do pokonania wszystkich czekających nań w życiu przeciwności.

Wszyscy trzej rozmawiający, rówiennicy wiekiem, znali się od dzieciństwa i mogli sobie śmiało powierzać najskrytsze tajniki myśli. Zdawna także weszli w zażyłe stosunki z podejmującym ich u siebie, starszym od nich, milczącym towarzyszem, który jakby pragnąc w zetknięciu z młodzieżą odświeżać myśl i w zamian za udzielane w radach owoce doświadczenia, czerpać nowe siły tak potrzebne w życiu, chętnie z nimi przestawał i tyle im dał dowodów życzliwej sympatyi, że sobie w młodych znajomych, gorących zapewnił przyjaciół. To też

nie ukrywali się oni przed nim z przekonaniami swemi i projektami i rozmowa szła swobodnie, bo każdy mówił szczerze co myślał, co się teraz przytrafia tak rzadko.

— Powtarzam wam, kończył swe wywody patron, że życie nie jest marzeniem i że trzeba raz zrobić wybór, poświęcając albo marzenia dla życia albo życie dla marzenia. Tego ostatniego nie radzę, życząc wam tak dobrze, jak sobie samemu. Rzuć tylko okiem w przyszłość Karolu, mówił dalej zwracając się do zakochanego, nie w ową przyszłość wypieszczoną w snach, umajoną kwiatami wyobraźni, lecz w tę nagą pustynię, jaką logiczne wnioskowanie wyprowadza z teraźniejszości, a którą prawdopodobieństwo pomyślnego trafu, zaledwie gdzie niegdzie ożywia. Masz obecnie skromne utrzymanie, pozwalające ci, kawalerowi i młodemu, żyć swobodnie w sferze do której się liczysz stanowiskiem i wykształceniem, a której wymaganiom, dochody twe nie odpowiadają ani w części. W zawodzie jaki obrałeś, awansuje się powoli, przy zdolnościach i poparciu w podeszłym wieku dopiero dochodząc do stanowiska, które może zapewnić byt całej rodzinie. Żeniąc się teraz, bez majątku, masz przed sobą kilkanaście lat nędzy, tem straszniejszej, bo zmuszonej pozostawać w ukryciu. Pierwsze lata jeszcze, przebyć mo-

żesz znośnie, kochany i kochający, ale miłość jest lotną, ma skrzydełka i ucieka równie szybko jak przylata. Pozostanie ci po niej szacunek, przyzwyczajenie, zaparcie się samego siebie, wyłączna myśl o zapewnieniu szczęścia już nie sobie, ale żonie i dzieciom, przypuszczam to wszystko, bardzo to wzniosłe i piękne, ale przy niedostatku wychodzącym na jaw coraz bardziej, do urzeczywistnienia trudne i ciężkie. Nie mam zamiaru obrażać cię przypuszczeniem, że nie wytrwasz na drodze obowiązku; owszem, pewny jestem, że postępować nią będziesz zawsze. Ale też właśnie, trzymając się tej drogi, napotkasz najwięcej cierni i przyjdzie chwila, kiedy pożałujesz, że się sam obarczyłeś całym ciężarem. Nie wyjawisz tego, ale będziesz cierpiał. Młodzieńcze marzenia zgotują ci ciezką dolę, po cóż ją sobie sprowadzać rozmyślnie. Czy nie lepiej, unikając jej wszelkimi godziwymi sposobami, starać się o uczynienie jak najznośniejszem swego życia, poprzestając na szczęściu, które prześnić można,—gdy innego nie przyrzeka nam nawet sam poeta....

— Co słyszę? poważny jurysta, powołuje się na zdania poetów, zawołał młody literat, i to jeszcze śmie je naginać do swych egoistycznych poglądów!

— Mów co chcesz, mnie tylko chodzi o przekonanie twego klienta. On milczy, widocznie więc zdołałem co najmniej poruszyć podstawy jego myśli. Własne rozumowanie dokona reszty.

Rzeczywiście Karol się zadumał, Może się już i wahał, jak to przypuszczał jego kolega, a może też przeciwnie, bujając w obłokach marzeń, ani słuchał, co w koło niego mówiono. Milczący dotychczas gospodarz, spojrzał na niego łagodnie, a widząc że nie ma zamiaru odpowiadać, rzekł:

— Pozwólcie moi młodzi przyjaciele, że nie biorąc udziału w walnej rozprawie, jakiej się przysłuchuję, wtrącę w nią tylko jedno opowiadanie. Treść jego w związku jest z przedmiotem waszego sporu. Długo was nie zajmę.

— Słuchamy, choćby do jutra!— zawołali trzej młodzi ludzie, zwracając się z ciekawością do gospodarza, który mówić zaczął w te słowa:

— Dwadzieścia lat temu! Uśmiechacie się, ale i wam przyjdzie z czasem zaczynać od tych słów opowiadanie, dwadzieścia lat temu, poznałem młodą panienkę, której widok dziwnie głębokie wywarł na mnie wrażenie. W pierwszej chwili nie była to miłość, raczej uwielbienie połączone z pewnego rodza-

ju bojaźnią. Zachwycała mnie jej piękność, byłbym na nią patrzał całymi dniami, ale zbliżyć się do niej w części nie śmiałem, byłem wtedy jeszcze bardzo młody, a w części także lękałem się aby przez zbliżenie i poznanie, nie stracić uroku, który mi był więcej jak miłym i w rozkosznie pięknej dziewczynie nie odkryć jakich niedostatków umysłowych lub moralnych. Tak często bywa się narażanym w życiu na tego rodzaju rozczarowania, że młodzieńcem jeszcze będąc, doświadczyłem ich nieraz. Sprawiały mi wtedy nierównie boleśniejsze wrażenie niż obecnie, gdym przywykły do cięższych zawodów, i dla tego unikałem starannie wszystkich okoliczności, mogących rozwiewać przedemną czarowne obrazy, jakie z miłych wrażeń, jakby ze szkiców, wytwarza wyobraźnia, upiększając linie i rysunek cały cudnemi zdobiąc barwami. To też z początku stroniłem prawie od Loli, tak się nazywała młoda panienka, choć ukradkiem, lubiłem patrzeć na nią, często ją zresztą spotykając w znajomych.

Lola miała lat osiemnaście, zgrabną figurkę, regularną twarzyczkę, piękne jasne włosy, oczy szafirowe czarujące. Poznałem ją podczas karnawału, pierwszego jaki przepędzała w Warszawie. Jej rodzice przybyli właśnie z prowincyi, by zamieszkać stale w naszem mieście, gdzie ojciec Loli powo-

łany został na wyższą posadę w sądownictwie. Lola, bywając z rodzicami w wielu domach, rzuciła się z zapałem w wir zabaw, tem ponętniejszych dla niej że nowych. Ileż to razy zachwycałem się, patrząc na jej ożywienie w rozmowie lub tańcu. O! bo piękną była gdy jej twarzyczkę, zdobną lekkim uśmiechem zadowolenia, świeży krasił rumieniec, gdy czarujące blaskiem i dowcipem oczy rzucały żywe spojrzenia, równie inteligentne, jak wdzięczne, budzące radość, zachwyt i nadzieję.

— Kobiety w strojach balowych, przy sztucznem oświetleniu, zwykle wiele zyskują, —przerwał patron.

— Jeżeli już upadłeś tak nisko, — zawołał literat, że ani masz współczucie dla tego co dobre, ani się zachwycasz tem co piękne, nie bądź przynajmniej barbarzyńcą i smętnej melodyi wspomnień nie przerywaj dysharmonijnymi wrzaskami realizmu.

Patron cofnął się w głąb fotelu, wzruszając ramionami, gospodarz się uśmiechnął i ciągnął dalej opowiadanie.

— Kiedy po upływie pewnego czasu poznałem lepiej Lolę, zacząwszy bywać w domu jej rodziców, przekonałem się że obawa zowodu była płon-

ną, że serce Loli równie piękne jak i jej twarzyczka, a główka pełna sprytu, dowcipu i inteligencyi. To też powoli przywiązywałem się do niej coraz bardziej i wreszcie jednego dnia, gdy przyszła chwila zastanowienia się, rozważenia swych myśli i czynów, ujrzałem ze zdziwieniem, że już nie należę do siebie, że całem mem jestestwem zawładnęło despotycznie jedno, jedyne uczucie,—miłość!

Zadziwiło mnie to odkrycie, ale i uradowało jednocześnie. Młody, byłem wtedy, czytywałem z zapałem poezye i powieści, naczytałem się dużo o miłości, ale nie doświadczyłem jej jeszcze. Czekałem na nią niecierpliwie, smuciła mnie już myśl że może wcale nie przybyć, bom dla niej za zimny, zbyt szczelnie okuty w pancerz rozumowania; aż tu nagle zstąpiła mi do serca z całym zasobem swych powabów, niewinna, cicha i marząca. Uczułem się szczęśliwym, zacząłem żyć,—bo kto nie kocha, czyż żyje?

— Żyje spokojnie, z pożytkiem dla siebie i drugich,— przerwał patron.

— Wegetuje, jak kwiat skazany na wieczną ciemność, — zawołał literat.

— Nie przerywajcież tak ciągle, potem będziecie się mogli spierać do woli, — rzekł łagodnie Karol.

— Pokochałem Lolę, mówił dalej gospodarz, na którego twarzy dysputa młodych ludzi wywołała uśmiech przelotny a smętny, pokochałem ją tem uczuciem szczerem, głębokiem i spokojnem, jakie obecnie spostrzegacie w Karolu. Tak samo jak i on zapragnąłem posiąść jak najprędzej przedmiot mej miłości, i ani mi przyszło do głowy aby położenie, w jakiem się znajdowałem, stawić mogło zaporę mym zamiarom. Byłem wtedy początkującym rzeźbiarzem, miałem uprawiać dalej niwę artystyczną, ani myśląc jeszcze o przemysłowem spożytkowaniu talentu. Zdawało mi się ze dłutem zapracuję na żonę i siebie, reszty nie brałem w rachunek. Wyznawszy przed sobą samym ze kocham Lolę, postanowiłem oświadczyć się zaraz. Był to właśnie dzień tygodnia, w którym rodzice Loli przyjmowali wieczorem znajomych. Poszedłem wcześnie, chcąc uprzedzić wszystkich gości i pomówić z Lolą swobodnie. Zastałem matkę zajętą przygotowywaniem wieczoru, ojca pracującego w swym pokoju. Lola siedziała przy oknie w salonie i czytała książkę. Siadłem przy niej, raczałem rozmowę, mówiłem o mem zajęciu, o posągach jakie miałem w myśli, wreszcie o sobie samym.

— Stałem się dziś Kolumbem, wie Pani?

— Kolumbem! cóż to za ląd nieznany Pan odkrył?

— Ląd powabny, uroczy, Eden miłości,—rzekłem nieśmiało.

— Winszuję, — szepnęła Lola, zwracając ku oknu zarumienioną twarzyczkę.

Na oknie stał wazonik geranium, Lola zerwała jeden listek i schyliła nad nim głowę jakby oglądając uważnie. Widziałem że chciała ukryć rumieniec, przez który przebijała się radość. Razem z nadzieją szczęścia, przybyło mi więcej śmiałości. Zapomniałem o retoryce i z szczerym zapałem mówiłem dalej.

— Tak panno Karolino, zbadałem dziś samego siebie i przekonałem się że kocham, kocham panią. Uczucie tu już zdawna ciągnęło mię do pani bezwiednie. Ulegałem mu, bo mi dobrze z niem było. Dziś zdając sobie sprawę z instynktowych drgań serca, wedle nich już kieruję rozmyślnie samym sobą, przychodzę do pani, zwierzam się i składam w jej ręce me losy. Kocham cię—bądź moją! Z uśmiechem szczęścia, słodyczy i spokoju, żejdź do mej ubogiej pracowni, przynosząc jedyny dar prawdziwie boski—miłość. Stań się mym geniuszem, mem natchnie-

niem, gdyś już jest królową marzeń, promiennem światłem wszystkich mych myśli.

Mówiłem tak długo. Lola słuchała zarumieniona, nie podnosząc oczu, w nieruchomej rączce trzymając ciągle listek zielony. W jednej chwili zdało mi się że ta ręka pochyla się ku mnie, chwyciłem ją i poniosłem żywo do mych ust. Nagle w sąsiednim pokoju dały się słyszeć głosy kilku osób. Lola wysunęła łagodnie swą rękę z uścisku, zostawiając mi trzymany w palcach listek geranium i wstała na powitanie wchodzących gości. I ja wstałem także, niezadowolony że się przerwały oświadczyny, i nie mogłem usłyszeć ani jednego słówka Loli.

Wkrótce zeszło się więcej osób, towarzystwo całe podzieliło się na kółka, ja trzymałem się ciągle blisko Loli, ale mówić mi już z nią było trudno. Rozmowa w każdem kółku była ogólna. W tej, którą wiodło otoczenie Loli, mało brałem udziału, a skoro obok mnie siedzący, mój przyjaciel z lat dziecinnych Adam, którego znacie dobrze, rzekł mi z cicha, — chodźmy na cygaro, — wyszedłem wraz z nim do sąsiedniego pokoju.

— Na Boga, co się z tobą dzieje, rzekł mi Adam, patrzysz się w Lolę jak w tęczę, nic nie mówisz, zakochanyś, na pewno.

— A jeśli tak, cóż w tem złego?

— Złego bardzo wiele, moj drogi. Tyś goły jak święty turecki, Lola nie bogata,—razem nędza.

— A praca?

— Cóż ci ona daje dotychczas. Wierzaj mi, mój drogi, naprzód nieżeń się, a następnie rzuć ową rzeźbę, która cię doprowadzić może tylko do śmierci głodowej, i weź się do czego innego, do sztukatorstwa naprzykład. Po pewnym czasie, przy usilności, pozyskasz wziętość i wejdziesz na drogę wiodącą do fortuny. Chcesz, to cię zapoznam jutro z jednym sztukatorem, poszukującym artysty na wspólnika.

— I owszem, na to zgadzam się chętnie. Ale co do ożenienia, to już zapóżne twe rady. Dziś właśnie się oświadczyłem.

— Loli?

— Tak!

— Przyjęła?

— Nic mi jeszcze nie odpowiedziała, bo właśnie goście zaczęli się schodzić.

— No, to w takim razie oświadczenie uważać można za nie byłe!

— Ależ ja tego nie chcę wcale!

— Posłuchaj, przyjacielu, wiesz że ci zawsze dobrze życzyłem i możesz być pewnym że i w tej chwili, radząc ci, dobro twe wyłącznie mam na celu. Wstrzymaj się z dalszem rozwijaniem kwestyi sercowej, sprobój nowego zawodu. Jak lepiej staniesz będzie czas pomyśleć o żeniaczce.

I Adam, zimno, spokojnie, roztrząsać zaczął rachunkiem moje położenie. Słuchałem go uważnie i zamyśliłem się. Czułem dobrze całą słuszność jego rad i poglądów. Byłem artystą wprawdzie, ale nie pozbawionym zupełnie zmysłu praktycznego. Z ochotą przyjąłem propozycyą wzięcia się do sztukatorstwa, ale co do Loli, uważałem za zbrodnię, rzucać ją po oświadczeniu. Adam zaledwie zdołał wmówić we mnie, że odkładając tylko na pewien czas małżeństwo, nie zrywam z nią bynajmniej, żeśmy oboje młodzi i możemy czekać, Radził mi nic nie mówić z Lolą o tem wszystkiem, być cierpliwym i pracować. Rozumował wybornie, o szczerej jego dla mnie życzliwości nie wątpiłem i gdy mnie przekonał, postanowiłem go usłychać. Wróciwszy do salonu, nie szukałem już sposobności zamienienia z Lolą kilku słów na osobności, wmięszałem się w ogólną rozmowę, a przy końcu wieczoru, pożegnawszy Lolę gorącem uściśnieniem ręki, wyszedłem razem z Adamem.

Odtąd zaczęła się dla mnie nowa faza życia, poświęcona pracy i walce. Wziąłem się z zapałem do przemysłowego spożytkowania mego talentu i zaczęło mi to iść dobrze. Z drugiej strony jednak, czułem że upadam jako artysta. Były chwile że bolałem nad tym upadkiem, ale to rzadko. Przy dobrobycie i ciągłem zajęciu, artysta zamierał powoli, przeradzając się w starannego artystycznego fabrykanta Po upływie lat sześciu, stanąłem już na czele własnego zakładu, miałem pozycyą przynoszącą przyzwoite dochody i dającą nadzieję dojścia do majątku. Wedle rady Adama, pomyśleć należało wtedy o Loli i o małżeństwie. Niestety! już było za późno!

Po moich oświadczynach, nie przestałem bywać w domu rodziców Loli, zmniejszyłem tylko liczbę wizyt i unikałem starannie sam na sam z Lolą. Z początku, dziwiło ją me postępowanie, często zwracała na mnie swe oczy, badawczo i smętnie. Po upływie pewnego czasu, stała się zupełnie smutną i sama mnie unikać zaczęła. Ile przecierpiałem, kochając ją ciągle, widząc ten smutek dowodzący wzajemności a wstrzymując się od pocieszenia jej jednem słowem, jednem spojrzeniem, tego wam nie potrafię wypowiedzieć. Po roku, gdy tam zaszedłem jednego wieczoru, dowiedziałem się że rodzice Loli opu-

szczają Warszawę, ojciec Loli bierze emeryturę i przenosi się do Krakowa.

— Nie wytrzymam dłużej, rzekłem do Adama, który tam był ze mną. Jutro się oświadczę. Lola nie pojedzie.

— Poczekaj, przecie Kraków nie na końcu świata, dogonisz ją i tam, teraz ci się żenić nie podobna.

Rzeczywiście interesa moje szły wtedy jeszcze bardzo słabo. Mimo to przez kilka dni po tym wieczorze, kierowałem codziennie me kroki do mieszkania Loli i zawsze zimny rachunek brał górę nad sercem. Gdy po tygodniu, jednego wieczoru, zbrakło mi siły do tej walki nieustannej i powtarzając w rozpaczy:—niech co chce się stanie, muszę z Lolą pomówić—pobiegłem do domu jej rodziców,... zastałem mieszkanie zamknięte:

— Państwo wyjechali wcześniej niż to było pierwotnie ich zamiarze,—objaśnił mnie rządca domu.

Wróciłem do siebie zdrętwiały, rzuciłem się na łóżko i wkrótce zasnąłem snem ciężkim i niespokojnym. Gdy otworzyłem oczy, ujrzałem siedzącego przy mnie Adama, który mi powiedział że leżę tak bezprzytomnie od dwóch tygodni, trawiony gorączką, że już był w obawie o życie, ale kilka dni temu, nastąpiło przesilenie i obecnie powoli powracać będę do zdrowia.

— A Lola?

— Pisałem do Krakowa, odpowiedziano mi że przybyła tam z rodzicami, zdrowa i jak zawsze milcząca i smutna.

Powoli zacząłem przychodzić do zdrowia, chciałem zaraz jechać do Krakowa, ale zajęcia mi nie pozwalały ruszać się z miejsca. O Loli, od czasu do czasu, dochodziły mnie wieści, z początku dobre, że zdrowa i trochę się rozwesela. Jednocześnie interesa moje zaczęły iść lepiej, czekałem tylko na chwilę sposobną do wyjazdu. Aż tu raz doniesiono mi, że Lola zapadła na zdrowiu,—wyjechałem co prędzej, lecz zaledwie zdołałem przybyć na jej pogrzeb. Wątłe jej zdrowie, nie starczyło do przebycia długich dni przeciwności. Zgasła, łagodnem spojrzeniem żegnając ziemię, bez słowa wyrzutu. skargi i żalu.

Wróciłem sam! Cios ten mnie nie złamał, ale wstrząsł tak silnie całem mem jestestwem, że poruszył i przekształcił wszystkie jego elementa. Szukałem pociechy w pracy, w zapomnieniu o sobie samym i znalazłem. Powoli wróciła równowaga, czynniki moralne ułożyły się spokojnie, przybierając inny porządek, stosownie do zmian jakim uległy. Przestałem myśleć o sobie i własnem szczęściu Używa-

jąc w mym zakładzie wielu ludzi, przeniosłem na nich mą troskliwość. Zaczęliśmy pracować jak jedna rodzina i zbierać coraz świetniejsze owoce. Dziś jestem bogaty, szanowany, żyję szczęściem drugich, ale są chwile, w których duch własny dopomina się o swe prawa. Wtedy rzucam okiem w przeszłość, przypominam sobie mą miłość i płaczę nad nią. Niosę do ust wybladłych ten wyschły listek geranium, który mi Lola zostawiła w ręku przy oświadczeniu, a który do dziś jeszcze wydaje słaby zapach. Ręka, która mi go dała, dawno już w mogile. Z mej młodości, moich marzeń i snów świetlanych, smutne tylko zostało wspomnienie. Od wszystkich ludzkich radości i smutków, od samego człowieka, trwalsza ta wątła odrośl nędznego krzewu!

Opowiadający zamilkł wzruszony. Gdy po chwili, młodzi jego słuchacze ochłonęli z wrażenia, jakie na nich wywarło opowiadanie, przemówił pierwszy, nie rozumujący patron, którego logika próżno siliła się na odpowiedź, nie literat, szukający bezskutecznie gotowego a dźwięcznego frazesu, ale skromny Karol, który przez cały wieczór milczał tak uporczywie.

— Z twego życia panie, rzekł, z twych uczuć, myśli i czynów, zostaną rzeczy trwalsze od listka

który masz w piersi. Zostanie ten zakład, dostarczający pracy tylu ludziom, zostanie ich wdzięczność dla ciebie i ogólny szacunek. Zostanie wreszcie nasza przyjaźń, którą sobie nabyłeś na zawsze swą dobrocią i przychylnemi radami, a z owoców nieszczędzonego nam ziarna, naszych myśli i czynów, wyjdzie znów ziarno nowe i padnie na ciężką glebę życia ludzkości.

— Dziękuję ci Karolu, odpowiedział gospodarz. Za twą przyjaźń przyjaźnią płacę. Nie chcę, byś jak ja mógł kiedykolwiek wyrzucać sobie: „marzyłem o ideale, spotkałem go i odtrąciłem rozmyślnie. Wszyscy w koło mnie szczęśliwi — ja nie i z własnej winy“. Niech ci me życie — nauką będzie. Szczęście puka do drzwi twoich, otwieraj je co prędzej. Żeń się z tą, do której po raz pierwszy zabiło twe serce i bądź spokojny o przyszłość. Jestem sam, bez rodziny i następców, będziesz mi synem, gdyś był dotąd przyjacielem. Pracuj ze mną i dziel się owocami, dając w zamian ognisko domowe, którego sam nie zdołałem sobie stworzyć. Wyciągasz do mnie rękę, zgadzasz się Karolu? Bóg ci zapłać! Nie zginą me marzenia, różane sny lat ubiegłych, nie zginie moja młodość, — odżyję w tobie!

# Figurka z porcelany.

> A czyż to trudu wiele trza znosić
> By złotą życia snuć sobie nić?
> Żyć, kochać, cierpieć i po coż? Dosyć
> Porcelanową laleczką być.
>
> (*Wacław Szymanowski*).

Czekałem na Pana Emanuela w jego gabinecie, istnem muzeum w miniaturze, pełnem różnych antyków i ciekawości. Zmrok już zapadał, pokój ogarniał cień tajemniczy, usposabiający do sennych, fantastycznych marzeń. Wsunąłem się w głąb sofy, puściwszy wodze myślom. Przedemną na stole, stała nowo nabyta widocznie, bo nieuwięziona jeszcze w oszklonej szafie, figurka z porcelany, przedstawia

jąca młodą dziewczynę, zda się Włoszkę, stojącą w pozie zalotnej i wdzięcznej. Na jasnem tle okna, rysował się wyraźnie zgrabny kontur dziewczęcia, a z szeregu linij, nic nie znaczących każda w sobie, lecz twórczością artysty zespolonych w piękną całość, tryskała żywa i ognista fantazya, jakby wprost przybyła z pod jasnego nieba Italii. Powoli, profil ten nabierać zaczął w mych oczach co raz więcej jasności i kolorytu, w koło niego znikał pokój i otaczające przedmioty i... ujrzałem przed sobą cudny włoski krajobraz, a w pośród zabawy i tańców, tąż samą zgrabną dziewczynę, tylko żyjącą, ruchliwą i w swem życiu i ruchach, piękniejszą jeszcze niż w porcelanie. Na przejrzystej tkance marzeń, całym szeregiem rozwijały się przedemną sceny, tworzące jeden dramat, za którego czarodziejskim biegiem, podążać mogłem zaledwie.

Ujrzałem naprzód zabawę. Pepita tańczy z Żuanem. Ona czarnooka córa Italii, wesoła, zwinna, rozkoszna,—on zimniejszych stref mieszkaniec, spokojny, lecz nie chłodny. Ile razy tęskny wzrok Żuana spotka palące spojrzenie Pepity, dłoń jego obejmuje silniej jej kibić, pierś mu się żywiej podnosi, choć spokój nie znika z oblicza. Tak ciemna i zimna skorupa wulkanu drgnieniem ledwie znak życia daje, gdy pod nią kipi, wrze lawa.

Zmienia się scena. W progu małego domku stoi Pepita i żywą wiedzie rozmowę z młodym, dorodnym Rzymianinem. Księżyc płomiennym blaskiem rozjaśnia jego twarz ogorzałą, ogniem płonące spojrzenie obejmuje Pepitę, wikła ją w rożane pęta miłości. Wiotka kibić dziewczęcia chyli się ku wyniosłej postaci Włocha. Już gorący pocałunek łączy ich usta, gdy z za węgła, jakby mara, jawi się blade lice Żuana. Spostrzega je Pepita słoni oczy i cofa się w głąb domku.

Na piasku wybrzeża, cieniem chmury zakryci walczą dwaj zapaśnicy. W ich dłoniach połyskują sztylety, ich postacie owijają ciemne zwoje płaszczów. Jeden pada ugodzony,— bez wyrazu, bez ruchu, ostatnie wydaje tchnienie; drugi schyla się nad nim zaciekły. A promień księżyca, wychodzący z za chmury, rzuca światło blade na martwe oblicze Żuana i mściwą jeszcze, choć przerażoną, twarz Rzymianina.

Z pod kolumn bogatej willi nad morzem, wychodzi orszak weselny. Zżołkła i pomarszczona twarz młodego pana, to starzec zużyty. W szatach panny młodej, pod przejrzystą gazą welonu, całym blaskiem urody, świeci Pepita. Radość się maluje w jej oczach, jednak czasem trwożne spojrzenie

rzuci do koła. Od strony morza, zbliża się wolno tłum rybaków. Przodem, czterech ludzi na noszach, dźwiga ciało zakryte. Gdy się zrównali z orszakiem, jeden z nich zdziera zasłonę i ukazuje martwą twarz Żuana. Pepita odwraca głowę, chce iść dalej, gdy trwożny wykrzyk wielu głosów przebija powietrze. Z tyłu cała Willa w płomieniach, a wśród ognia, czernieje jak Nemezis, straszna w swej zemście postać Rzymianina.

Wszystko znikło — została tylko lekka i wdzięczna figurka z porcelany. Uśmiech zdobi zawsze gładziuchną jej twarzyczkę, w konturach taż sama ponęta....

— O lalki bez serca, zawołałem wzburzony, wy przetrwacie pożary i gromy, wy zgubę siejąc do koła, będziecie się zawsze uśmiechać swobodnie, bo sobą tylko i dla siebie żyjecie. Ach gdybym was wszystkie jak tę jedną, mógł pochwycić w dłoń moją...

— Ależ panie, co Pan robi? — wykrzyknął Pan Emanuel, który wchodząc do pokoju, ujrzał mię trzymającego w podniesionej ręce figurkę z porcelany.—Co panu zawiniło to cacko?

— Przypomniało mi inne!

# SPIS NOWELLI.

Cena Rsr. 1.